MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XII. Nr. 55. WARSZAWA, 18 GRUDNIA 1932 R. CENA NUMERU 80 GR.

CHAOS NIEMIECKI

TO, CO SIĘ DZIEJE w Niemczech, jest wysoce interesujące dla historyków i polityków całego świata. Dla polityka polskiego wysuwać się musi na pierwsze miejsce pytanie: jak odbiją się wydarzenia w życiu wewnętrznem Niemiec na ich polityce zewnętrznej?

Aby na to pytanie odpowiedzieć, trzeba sobie jednak zdać sprawę z istoty tego, co się w Niemczech dzieje, ocenić działające tam siły i przewidzieć wynik ich obecnego zmagania się. Zadanie to niełatwe, można się też conajwyżej pokusić o wskazanie, jakie obrać drogi, by je wypełnić.

Wypada naprzód wskazać na dwie rzeczy, stanowiące tło dla bieżącej polityki: na przełom w biologicznym rozwoju narodu niemieckiego i na wpływ kryzysu gospodarczego na stosunki ekonomiczne i społeczne w Niemczech.

Nie będziemy przytaczali cyfr i obliczeń; przypomnimy tylko, że już szereg pisarzy niemieckich i obcych wskazywał na stałe zmniejszanie się ilości urodzeń, oraz stwierdzał, że za kilka lat dziesiątków Niemcy staną pod względem ilości ludności w miejscu. Stąd jest wniosek oczywisty, że i ekspansja zewnętrzna narodu niemieckiego musi osłabnąć; w dziejach tego narodu zbliża się moment zwrotny.

Kryzys gospodarczy nabiera w Niemczech szczególnego natężenia. Gospodarka niemiecka wzorowała się na amerykańskiej, olbrzymie kredyty zagraniczne, które napłynęły po wojnie, umożliwiły Niemcom powiększenie ich aparatu produkcyjnego, pracującego na rzecz eksportu nazewnątrz. Z natury kryzysu (załamanie się gospodarki światowej) wynika, że ten aparat produkcyjny niemiecki jest dziś za wielki, że nie może być całkowicie czynny; musi uledz przebudowie, co nie da się nigdy zrobić bez katastrof, bez strat i bez zamętu.

Do zaznaczonych powyżej względów, z których wynika, żc polityka niemiecka musi pracować w bardzo trudnych warunkach, przybywa jeszcze fakt odbywającego się przeobrażenia w polityce europejskiej — że wskażemy tylko na wzmacnianie się siły i odporności państw w Europie środkowo-wschodniej (przedewszystkiem Polski), oraz zwrócenie się Rosji ku Azji.

Niemcy zaś są ofiarą tej samej anarchji moralnej, jaka dotyka wszystkie narody europejskie w obecnej dobie kryzysu cywilizacyjnego i kulturalnego, oraz przechodzą okres głębokiego zamętu wewnętrznego.

Przez cały ciąg istnienia cesarstwa, między dwiema wojnami (1870 — 1914), trwały ostre walki między prawicą a lewicą. Lewicę tę reprezentowała znakomicie zorganizowana i oparta o potężne związki zawodowe socjalna-demokracja. Po wojnie stała się socjalna-demokracja najpotężniejszym czynnikiem w polityce niemieckiej, jej rządy w Prusach były dobitnym tego wyrazem. Rok 1932 był świadkiem likwidacji znaczenia i wpływów socjalizmu niemieckiego. Przeciwstawił mu się młody ruch narodowy, który pociągnął pod swoje sztandary szerokie masy

ludowe i pod postacią hitleryzmu stał się najsilniejszem stronnictwem w Niemczech. Z faktu istnienia tego ruchu skorzystał rząd v. Papena, by zadać cios stanowczy socjalnej-demokracji i postawić ją prawie poza nawias życia politycznego.

Zwycięstwo prawicy nie położyło jednakże kresu walkom wewnętrznym. A to dlatego, że w łonie tej prawicy ujawniły się dwa kierunki, które mają między sobą wiele wspólnego, lecz różnią się pod innemi względami tak dalece, że stoją w ostrej ze sobą sprzeczności. Dla ułatwienia sobie dalszych rozważań nazwiemy te dwa kierunki s t a r e m i i m ł o d e m i Niemcami. Stare Niemcy, to Hindenburg, v. Papen, oraz ci wszyscy ludzie i te wszystkie siły, które były wyrazem potęgi politycznej Niemiec przedwojennych, rządzonych przez Prusy. Prusy opierały się na armji i biurokracji, wytworzyły swoiste metody rządzenia i swoiste metody polityczne. Ta tradycja pruska stanowi siłę starych Niemiec konserwatywnych, pod względem społecznym opierających się na wielkiej własności, wielkim przemyśle i wielkiej finansjerze, mających za sobą żydów. Celem ich jest prawdopodobnie przywrócenie monarchji. Młode Niemcy — to przedewszystkiem ruch socjalistyczno-narodowy, hitleryzm. Siłę ich stanowi to, że wyrosły z szerokiego prądu narodowego i że mają za sobą szerokie masy ludowe. Słabością ich jest brak ludzi doświadczonych w sztuce rządzenia i konieczność szukania popularności. Młode Niemcy są społecznie radykalne, rzucają hasło zmian społecznych i gospodarczych, są nastrojone rewolucyjnie.

Objęcie władzy przez generała von Schleichera jest pewnego rodzaju zawieszeniem broni między dwoma odłamami prawicy. Nikt nie jest dziś w możności powiedzieć, ani na jakich podstawach, ani też na jak długo. Być może, iż chodziło tu przedewszystkiem o zaprzestanie walk wewnętrznych na czas walki na terenie międzynarodowym o równouprawnienie w dziedzinie zbrojeń.

Ludzie przewidujący i myślący o zewnętrznej polityce Niemiec będą niewątpliwie dążyli do zamiany tego zawieszenia broni na pokój i współdziałanie. Trudno zaiste nie widzieć, że zaprzestanie walk w łonie prawicy byłoby wysoce pożądane z punktu widzenia polityki niemieckiej w Europie, a niebezpieczne dla tych narodów, którym polityka ta zagraża.

Czy pokój i współdziałanie są możliwe?

Bardzo wiele przemawia za tem, że wiele czynników stoi tu na przeszkodzie. Wchodzą bowiem w grę interesy społeczne i gospodarcze szerokich mas, różnice między poszczególnemi krajami, wchodzącemi w skład Rzeszy, ambicje poszczególnych jednostek, stojących na czele różnych grup i stronnictw, właściwości charakteru niemieckiego, powikłania, wynikające z kryzysu światowego — moralnego i gospodarczego — oraz zapowiadające się przeobrażenia w układzie politycznym świata.

Wiele przemawia za tem, że nie tak rychło jeszcze zakończy się okres zamętu niemieckiego, że przeto w najbliższej przyszłości nie będą mogły Niemcy skoncentrować wszystkich swych sił na terenie polityki zewnętrznej.

STANISŁAW KOZICKI

„ELEPHANTIASIS“ PRAWODAWCZA

PRZEZ *„elephantiasis“* rozumie się w medycynie przerost chorobliwy, nadzwyczajny, niezwykły swą wielkością; tamuje, a w końcu czyni niemożliwem normalne funkcjonowanie organizmu, sprowadza schorzenie chroniczne całego ciała, a nietylko części dotkniętej chorobą bezpośrednio[1]).

Gdybym powiedział, że Polska cierpi na przerost prawodawczy, wyraziłbym się bardzo niedostatecznie; to, co u nas się dzieje, toć już nie przerost, ale *„elephantiasis“* co się zowie, w stopniu niesłychanym!

Czy jest w całem państwie ktokolwiek, któryby znał dobrze treść tej wielkiej, bardzo wielkiej szafy, która zaledwie może pomieścić „Dziennik Ustaw Rzplitej Polskiej“, Dzienniki analogiczne ministerstw, zbiory ustaw, rozporządzeń, przepisów, instrukcyj itp.? A przecież ledwie zaczęliśmy, więc co będzie dalej? Gdyby możliwą była statystyka urzędników, znających należycie prawodawstwo własnego tylko „resortu“, jakżeż drobne wypadłyby liczby! Trudno, *ultra posse* nie ma się nawet prawa wymagać. Zresztą, nietylko brak chińskiej pamięci czyni to niemożliwością, ale co gorsza, coraz częściej odzywa się głos wewnętrzny, jako szkoda czasu uczyć się nowej, świeżo ogłoszonej „pozycji“, bo nim się ją wybębni, już będzie w drodze... nowela, a taka energiczna, iż wywróci tamto do góry nogami, ażeby po niedługim czasie zostać z kolei wywróconą na nice przez drugą nowelę itd., aż do skutku. Skutek będzie taki, że każdy urząd, a nawet każdy urzędnik we wszystkich dykasterjach będzie sobie radzić „własnem uznaniem“, jeżeli się nie zatrzyma powodzi prawodawczej. Kontrola wykluczona, albowiem przełożony zna się na tym chaosie jeszcze mniej od podwładnego, a przełożeni najwyżsi, ministerjalni, nie mają czasu na studja praw, obowiązujących do wczoraj, gdyż są zajęci bezustannie przygotowywaniem praw na jutro. A dzień dzisiejszy pozostaje bez patrona.

Poszukajmy winowajcy tego utrapionego stanu rzeczy. Tym razem doprawdy nie rząd winien, lecz społeczeństwo samo.

[1]) Nadesłany nam łaskawie artykuł znakomitego uczonego, prof. uniw. Feliksa Konecznego, traktować pragniemy jako dyskusyjny, w szczególności jeśli chodzi o wyrażone w nim poglądy Szan. Autora na temat zagadnienia decentralizacji terytorjalnej (Red).

Przedewszystkiem, źródło choroby tkwi w przekonaniu powszechnem o wszechmocy i koniecznej wszędzieobecności państwa. „*Elephantiasis*“ państwowości, t. j. urządzeń państwowych. Wytwarza się jakiś nowy typ państwa, wobec którego państwo „policyjne“ dawnego typu wygląda nader skromnie, a „światły absolutyzm“ zakrawa na zabawkę dziecięcą! Nie wymyślono jeszcze nazwy naukowej na tę retortę, mającą wysmażać *homunculus*'ów, pozwalam więc sobie nazywać ją według własnego „uznania“: państwem wścibskiem. Poznać można je po tem, że mając pełne ręce roboty, która do niego nie należy, zaniedbuje niemal wszystko, co do niego należy.

Jak dotychczas, nie widać reakcji przeciwko temu wścibstwu, z jedynym tylko wyjątkiem: żeby państwo nie bawiło się w fabrykanta. Gdyby rząd posprzedawał w ręce prywatne swe fabryki, czyż nie zapanowałoby przekonanie, jako skończył się etatyzm? Bardzo się obawiam, że byłbym w takim razie w nader nielicznem towarzystwie, gdybym nadal biadał na wszędobylstwo i wścibstwo państwowości, cierpiącej na groźną „*elephantiasis*“.

Ogół obywateli wszystkich nieomal stronnictw lubi wielce „ingerencję“ państwa. *Rara avis* (*vulgo*: raróg), kto pragnąłby to ścieśnić. Pod tym względem cała Polska jest prawie jednozgodna. Różnice mniemań nie pochodzą naogół z uznawania lub odrzucania wścibstwa, lecz tylko z pytania, kto ma wścibstwem kierować i jaką metodą je stosować.

Wobec tego „*elephantiasis*“ prawodawcza, wydająca skutki przeraźliwe, w zasadzie miła jest wszystkim. Każde stronnictwo wpychałoby co innego do owej szafy, ale każde zapychałoby ją z zapałem kopiasto. Wartość i pracowitość, zdatność i obowiązkowość czyto sejmu, czy ministerstw, mierzy się ilością ustaw i rozporządzeń, wydanych w pewnym czasie, nader ograniczonym, np. w jednej sesji, w jednym roku kalendarzowym. Dumą wzbiera serce dziennikarza, gdy może donieść, że „pracuje się“ w Polsce na niwie ustawodawczej. To też śpieszy po laury obywatelskie, kto tylko może brać udział w wyścigach wścibstwa: poseł ma pełno projektów do ustaw, urzędnik komponuje rozporządzenia, święcie przekonani, że przymnażają Polsce dobra.

Na dnie tego żwawego ruchu prawodawczego tkwi najgłębsze przekonanie o cudownej mocy prawa pisanego. Śpieszą się więc, żeby stosunki „uzdrowić“, „ustalić“, „unormować“, cudowną maścią ustaw; niektórym to nie wystarcza, posuwają swą gorliwość wyżej, mianowicie, żeby z pomocą przepisów stosunki „wytworzyć“. Nawet mamy takich gorliwców coraz więcej.

A tymczasem *quia leges sine moribus?*! Naco to wszystko?

Zwróćmyż uwagę na spory o konstytucję. Ja— heretyk pewnie?—twierdzę, że przy jakiemkolwiek brzmieniu konstytucji można robić, co się żywnie podoba, jeśli się ma siłę, a zatem dysputą konstytucyjną nigdy się nie przejmowałem. Co za ładne rzeczy czytywało się w rosyjskich prawach zasadniczych, a bolszewicy jak umieją wypisać się! Węgierska konstytucja „gwarantowała“ we wzniosłych wyrażeniach równouprawnienie narodów, a prześladowanie było tam jeszcze gorsze, niż w Rosji. Ale to ludzi jakoś nie poucza. Jestem przekonany, że tysiące obywateli dałoby życie za to, żeby Polska miała dobrą konstytucję. Nieprawdaż? O biedna Angljo, nie mająca dotychczas ni konstytucji, ni kodeksu cywilnego!

Marzą się nam bajeczki ze szkolnych czytanek i „wypisów“ o Solonie i innych prawodawcach. Wyrasta się w przekonaniu, że prawodawstwo nadaje treść i formę państwu, społeczeństwu, rodzinie, obywatelowi. Sparta była odmienną od Aten, ponieważ posiadały różne prawodawstwa. Pomylenie przyczyny a skutku za lat szkolnych trwa z reguły na zawsze, bo dla olbrzymiej większości współobywateli lata szkolne były jedynym okresem, w którym się myślało jako tako, przynajmniej względnie. Potem, wiadomo, „człowiek nie ma czasu“. Wyjątkowe tylko jakieś osoby mają czas zastanawiać się nad stosunkiem ustawodawstwa do życia zbiorowego.

Stosunek ten jest dwojaki: aprjoryczny lub aposterjoryczny. Ponieważ w naszych czasach (a już od wielkiej rewolucji francuskiej) tamten pierwszy wziął górę, jemu wpierw przyjrzyjmy się. Polega stosunek aprjoryczny na tem, że komuś wiadomo jest dokładnie, czego potrzeba ludziom do szczęścia zbiorowego, ludziom wogóle, „jako takim“, bez względu na długość i szerokość geograficzną, a przedewszystkiem bez względu na jakąkolwiek tradycję. Taki Specjalista od powszechnego szczęścia, pełen altruizmu, pałając miłością ludzkości, chce się przysłużyć i wiadomą sobie drogę do wszystkiego dobrego nietylko wskazać, ale uczynić dostępną każdemu przy pomocy odpowiednich ustaw. Niestety, ludzie bywają niemądrzy, a czekać, aż zmądrzeją i na tę drogę wejdą, byłoby zadługo. „Trzeba ludzi zmusić do szczęścia!“ — jak oświadczył jeden z przywódców polskiego radykalizmu. Sypią się tedy ustawy grubsze i drobniejsze, a im drobniejsze, tem więcej liczące paragrafów, pełne sankcyj karnych na nieposłusznych, a to w ich własnym interesie, ażeby zaznali wreszcie szczęścia na tym świecie. Ustawy są tak ułożone, żeby przynajmniej na papierze dawały obraz takich urządzeń państwowych i społecznych, jakie aprjorycznie wymyślił sobie prawodawca. Nagina się stosunki do praw, wyssanych z palca, a co się nagiąć nie da, może sobie pójść pod gilotynę lub na latarnię. Bo czyż jest choć jeden rewolucjonista, któryby nie nosił w sobie czarownej recepty na ludzkość szczęśliwą?

Aprjoryzm ustawodawczy stanowi specjalność rewolucji. Jeżeli zaś metoda ta czepi się nierewolucjonistów, a to dla swej powszechności (jak za naszych właśnie dni), natenczas najwięksi nawet przeciwnicy rewolucji nieświadomie rewolucję przygotowują.

Aposterjoryzm zaś bada stosunki, a uzupełnia je ustawodawstwem tylko w razie potrzeby i raczej na żądanie interesowanych. Jest metodą ewolucyjną, a przytem uwzględnia tradycję i dba wielce o czas, miejsce i okoliczności. Niechętnie cośkolwiek narzuca; niechaj interesowani sami wpierw powiedzą, co im do szczęścia potrzebne.

Różni interesowani gotowi jednak rozmaicie określić swoje szczęście. Oczywiście! Cóż ma tedy począć prawodawca? czy nadawać różne prawa w tym samym kraju? Według powszechnie przyjętych pojęć w jednem państwie może być tylko jedno prawo; innemi słowy: jednostajność stanowi warunek mądrego prawodawstwa. Np. w Polsce zachodzą niesłychane różnice materjalne i duchowe pomiędzy prowincjami, ale administracja „musi być jednakowa“, w imię mądrego prawodawstwa, a tembardziej jednakowe prawo publiczne. Jak to

urządzić? Słyszałem na własne uszy i czytałem na własne oczy radę pewnego posła: ponieważ ani Polesie, ani Nowogrodzkie nie dorosły jeszcze do tych swobód obywatelskich, do których przywykło np. Pomorze, a zatem prowincje zachodnie winny ukrócić swe prawa, ażeby zrównać się co do życia zbiorowego ze wschodniemi. Poczciwiec ani nie przewidywał, do jakiego stopnia doprowadzona będzie orjentalizacja całej Rzplitej! Ale jest wszędzie jednakowo!

Ja zaś popełnię jeszcze jedną herezję i powiem, że jednakowa wszędzie administracja, będąc wszędzie sztucznie aprjoryczną, nigdzie nie będąc stosowną, musi być wszędzie złą.

Lecz czyż sejm nadawać ma rozmaite prawa, prawa prowincjonalne? Nie, albowiem sejmowi walnemu nic do praw prowincjonalnych. Od tego winny być odpowiednio skonstruowane, prowincjonalne władze i korporacje. Niewątpliwie znaczna większość spraw jest natury prowincjonalnej, to też sejmowi i ministerstwom pomniejszyłoby się robotę i mogłyby resztę wykonywać porządniej, choćby z większym namysłem.

Jacyż my niekonsekwentni! Dworujemy sobie z Ligi Narodów, gdy do rozsądzenia sporu z Gdańskiem powołuje „znawców“ gdzieś z Argentyny i z Japonji, a nie razi nas, gdy czytamy w „Pacie“, jako Rada ministrów obradowała nad tem, czy folwark Hreczkosiejbę wydzielić z gminy Lewodrągi, a wcielić do Prawodrągów? Nikt z ministrów nie ma pojęcia, gdzie to jest i jak tam życie wygląda, ale decydują. Państwowość „nowoczesna“ niecierpi decentralizacji, to też bliscy jesteśmy tego, że obywatele wszystkich prowincyj jednako znienawidzą tę nowoczesność i nastanie rozłam państwa a społeczeństwa, jak bywało w Rosji. Ani jedna bowiem prowincja nie będzie zadowoloną z tego, że się ją urządza nie według jej potrzeb, lecz według schematu aprjorycznego, wylęgłego nie z obserwacji stosunków, lecz w doktrynerskich głowach.

Aprjoryczność ustawodawcza płodniejszą jest w ustawy przynajmniej dziesięć razy, niż aposterjoryczność. Aposterjorysta kontentuje się tem, co mu przyniesie rzeczywistość; gdy tymczasem aprjorysta pracuje na wyrost i pragnie przewidzieć wszystko co mogłoby się stać na świecie, ujmując to zgóry w prawo pisane. Takiemu prawodawcy przyśnią się często rzeczy i sprawy niestworzone! Ale to nic; od czegóż nowele, które można zacząć wypuszczać zaraz od następnego kwartału?

Chcąc wszystko przewidzieć, wchodzi prawodawca w szczegóły, kombinuje, komplikuje, miesza, i często gęsto urządzi galimatjas, nad którym załamują ręce ci, którym poruczono wykonanie; ale wykonane być musi, choćby popsuć to, co się chciało wydoskonalić. Im zaś szczegółowsze prawa, tem dłuższe i tem więcej musi ich być.

Składają się więc na *„elephantiasis“* prawodawczą: przekonanie o niezbędnem wszędobylstwie państwa i o jego wszechmocy, wiara w cudowną skuteczność ustawy, metoda prawodawcza aprjoryczna, poczucie obowiązku, żeby ludzi zmuszać do szczęścia, przesąd jednostajności, nienawiść decentralizacji, manjactwo przewidywania wszystkiego. Takich oto ośm głów ma hydra prawodawcza „nowoczesnego“ państwa!

Skądże się to wzięło u nas, u potomstwa cywilizacji łacińskiej? I czyż to dzieje się tylko w Polsce (choć u nas najgorzej)? Hydra objęła Europę kontynentalną całą, i nie od dziś dnia. Nie wolno wysnuwać z tego wniosku, jakoby nie godziło się poprawiać tego stanu rzeczy w Polsce; owszem, bylibyśmy szybko górą, gdybyśmy zaczęli robić coś dobrego dla Europy.

Warto zastanowić się, skąd owa *„elephantiasis“* u spadkobierców autonomji stanów, o ustawodawstwie bardzo skąpem, a opartem zawsze na prawie zwyczajowem i pełnem rozmaitości? Żadną miarą nie można było wydedukować sobie z przeszłości tych przywar, tak wręcz przeciwnych cywilizacji łacińskiej. Skąd te naleciałości, nie mające żadnego związku ani z historją, ani z filozofją, ani z ustrojami życia zbiorowego całej cywilizacji łacińskiej, nie wyłączając narodowej kultury polskiej?

Dojdziemy łatwiej genezy, poświęcając jeszcze chwilę uwagi skutkom naszej *„elephantiasis“*. „Z owoców poznacie je“.

Gdzie w nadmiarze ustawodawstwa pomieszczono w prawie kodyfikowanem i przewidziano rzekomo wszystko, tam prawo wystarcza do wszystkiego i uzurpuje sobie, że starczy społeczeństwu za wszelką więź. Skoro prawo działa cuda, a obejmie wszystko, czegóż ludziom trzeba nad prawo i prócz prawa?! Trzymajcież się prawa, a reszta będzie wam przydana! Poczucie słuszności i sumienie do czegóż potrzebne, gdy prawo jest wyraźne? Tamto indywidualne, więc chwiejne, zależne od osoby (tak się rozumuje „nowocześnie“), gdy tymczasem prawo stoi jak mur i reprezentuje zbiorowość, a zatem stanowi przejaw kategorji wyższej! Żyć słusznie i sumiennie, to znaczy żyć zgodnie z prawem. Co za postęp, że się człowiek nie musi wahać i namyślać; wystarczy sięgnąć do kodeksu, lub do „Dziennika Ustaw Rzplitej“, albo do zbiorów rozporządzeń ministerjalnych — i już! Sumienie wobec np. DURP—to tak, jak socha wobec pługa, a pług wobec traktora, jak łuk wobec dobrej strzelby, a strzelba wobec karabinu maszynowego. Poco trudzić się staremi narzędziami, skoro są nowe, ulepszone? Deliberować, co godziwe, a co nie, mając rozwiązanie czarno na białem, gotowe!

To też tylko „mamuty“ dumają czasami, jako człowiek porządny nie korzysta bardzo często ze swych kodyfikowanych praw, gdy nie wydają mu się zgodnemi ze słusznością i z sumieniem. Rozmaitość życia sprawia, że to samo może być raz słusznem, a drugim razem niesłusznem, chociaż przy tej samej kodyfikacji. Ale poco łamać sobie głowę, skoro jest prawo; a czyż posłuszeństwo prawom nie jest obowiązkiem (zwłaszcza wtedy, gdy obraca się na naszą korzyść)?

Ale między sumieniem a prawem zachodzi ta różnica, że „sumienia nie oszukasz“, a prawo możesz obejść doskonale, w sposób prawa nie naruszający, a zatem bezkarnie. Gdzie obowiązuje to tylko, co prawem przepisane, tam obowiązków względem słabszego niema, bo uwolnią od tego kruczki prawnicze. Życie z kodeksem w ręku, toć niezależność nawet od prawa, jeśli jest spryt i prawnicza finezja oszusta ostrożnego. Prawo, to rzecz zależna od interpretacji. Z tego rodzi się t. zw. literalność prawna, formalistyka, wkońcu przenoszenie formy nad treść, wreszcie cynizm dla wszelkiej treści, byle pamiętać o literze prawa i formie prawniczej. Bezprawie i nieprawości, pokrywane prawem—oto meta „rozwoju“ tej *„elephantiasis“*!

Im więcej praw, tem mniej prawości.

W jakiż sposób cywilizacja łacińska znalazła się na tej równi pochyłej i skąd tyle na wszystkie strony ochoty, żeby staczać się na niej bez zatrzymania? Droga ku przepaści sławiona, reklamowana, a kto ostrzega, ten wstecznik z antropofobią....

Otóż wyłączność coraz większa prawniczości naszego życia zbiorowego naprowadza na cywilizację, stojącą prawniczością, gdzie nawet religja jest tylko prawem, a z którą cywilizacja łacińska miesza się od półtora wieku. Jest to cywilizacja żydowska, żywiąca się zbiorami przepisów, które obejmują wszystko a wszystko, sięgając do szczegółów tak drobiazgowych, iż nam — ich uczniom — jeszcze daleko do ich mistrzostwa.

Jest tradycja, jako Jehowa prócz Tory dał był Mojżeszowi jeszcze nadto 613 przepisów, w czem 248 nakazów, a 365 zakazów. W rozproszeniu nie wszystko było wykonane. Zebrał więc Majmonides w XIII wieku, co da się wykonywać, i zostało jeszcze przepisów 369, mianowicie 126 nakazów i zakazów 243. Byłoby tego niesłychanie mało wobec polskiej *elephantiasis*, ale każdy żydowski przepis kombinowany jest do nieskończoności, wytwarzając całą sieć praw nowych, pochodnych; rozwałkowuje się każdą literę, z wyrazów powstają traktaty, ze zdań księgi; a pouczenia, jak prawo obejść, zabierają jeszcze więcej miejsca, niż przepisy same. Takim jest talmud, komentujący prawniczość religji (kontraktu z Jehową).

Niema rzeczy, o którejby w talmudzie nie było mowy, a potem, za jego przykładem, w przepisach rabinów, w zbiorach praw kahalnych, wreszcie w nakazach i zakazach cadyków. Powiada ś. p. ksiądz profesor Trznadel, jako „opasano (prawami) człowieka od stóp do głów, od najpierwszej młodości do końca jego życia, we wszystkich najdrobniejszych szczegółach codziennego życia“. A Sombart pisze o tem w te słowa: „Na każde wydarzenie życia jest przepis, do którego należy stosować się: czy króla spotka, czy zobaczy karłów albo murzynów, czy przejedzie koło ruin, czy zażyje lekarstwo, czy weźmie kąpiel, czy zbiża się burza, czy usłyszy z daleka bijące pioruny, czy wstaje, czy się ubiera, czy załatwia potrzebę, czy zasiądzie do jedzenia, czy wchodzi do domu, czy też go opuszcza, czy wita przyjaciela, czy spotka wroga“... na wszystko, co tylko wydarzyć się może, przewidziane są przepisy. Normowanie prawne życia wkracza aż w szczegóły alkowy małżenskiej, w drobiazgi tyczące jadła, napitku, ubioru, porządków domowych, zachowania się w domu i w podróży, w sposoby zarobkowania i td. i td. Przepisy kahalne wymienieniają, jakich gości zaprasza się na wesela, na obrzezanie, podają spis potraw nawet. Żyd ortodoksyjny kroku nie stąpi inaczej, jak według prawa, tj. według litery. Np. nie wolno w szabat przenosić przedmiotów do obcego domu. Ale gdy się sąsiadowi da trochę swojego chleba, gdy tedy dwa domy jedzą wspólny chleb, stanowią dom jeden i przenosić wolno. Takich przykładów „posłuszeństwa prawu“ podają studja talmudyczne setki i setki.

Żydowscy uczeni twierdzą sami, jako judaizm nie jest objawioną religją, lecz objawionem prawem (Mendelsohn, Majmon, Lazarus, Philippsohn i t. d.); niektórzy oświadczają, jako Żydowi wolno wierzyć, w co mu się podoba, byle słuchał prawa. Jest to cywilizacja, uwielbiająca prawo nadewszystko. Jedną tylko wydali naukę: przewód sądowy, który rozwinęli naprawdę bardzo wysoko.

Cała cywilizacja żydowska opiera się na *elephantiasis* prawodawczej. Mnóstwo Żydów nie stosuje się już (zwłaszcza na Zachodzie) do owych tysiącznych przepisów, ale zostaje w ich głowach metoda ustroju życia zbiorowego, polegająca na wyłączności prawniczej. Pozostaje im wiara w nieograniczoną moc prawa i w potrzebę prawa na każdym kroku życia. A skoro jednakowo słuchają ustawodawstwa Żydzi pięciu części świata, nasuwa się im postulat prawa uniwersalnego, stąd zapał ich do niwelacji, jednakowości, przynajmniej w jednem państwie, gdy już nie można na całym świecie. Wszystkie właściwości *elephantiasis* prawodawczej tkwią w umyśle żydowskim. Odkąd tedy Żydzi wywierają wpływ na prawodawstwa krajów cywilizacyi łacińskiej, nabieramy cech żydowskich i grzęźniemy w stosach przepisów. Wstawiamy coraz bardziej prawo na miejsce etyki.

Żyd działa po żydowsku. Cóż w tem dziwnego lub nienaturalnego? Trudno od niego wymagać łacińskiej filozofji prawa. I nie trzeba wcale a wcale wietrzyć w tem złej woli. Przy najlepszej woli daje nam to, co sam posiada najlepszego, swój prawniczy światopogląd. Napawamy się nim coraz bardziej sami, dobrowolnie.

FELIKS KONECZNY

BOY

NAPRZÓD będę dystyngwować (ale nie: kłaniać się! *sapienti sat*): Boy ma po sobie pewną część prawdy. Bo prawdą jest, iż są w obyczajach naszych pewne *hiatus* pomiędzy praktyką cichą i poglądami prywatnemi, a teorjami oficjalnemi i publicznemi. O tem niema dwóch zdań; to jest, powtórzmy, ni mniej, ni więcej, tylko prawda.

I jakkolwiek nie jest jeszcze udowodnione, żeby zawsze i wszędzie, w każdym wypadku, mówienie wszystkiej bez ogródek prawdy było zbawiennem — owszem, jakaś hypokryzja służyć może do ratowania jakiejś prawdy — to jednak prawie pewnem jest, że tam, gdzie się pewne zjawiska rozlewają już szerokim prądem —środowiska społeczne, nie mające odwagi do prawdy, do całej, bezczelnej i trudnej prawdy, narażają się na wyranżowanie, bo tracą kontakt z rzeczywistością: płynie wokoło nich jakieś życie rozkiełznane i groźne, a tu— nadrabia się pustemi słowami. Życie zaś chwyci za kark—ktoś inny.

Więc jakąś rację, jakąś porcję prawdy Boy po sobie ma.

Z tem wszystkiem trudnoby było mi zgodzić się z p. J. E. Skiwskim, gdy przypuszcza, że od wystąpień Boya nikomu już nie wolno będzie być obłudnikiem, że trzeba będzie tak żyć, jak się mówi, albo tak mówić, jak się żyje. W takiem ujęciu „instytucja—Boy“, zajaśniałaby blaskiem zaiste patetycznym. Niema jednakże nic mniej patetycznego niż Boy, instytucja—Boy, ideologja—Boy, atmosfera — Boy, prasa — Boy, szkoła — Boy. To też i Skiwskiego niesprawiedliwie zalicza się do uczniów Boya; nie broni przecież życia ułatwio-

nego, a jeśli na pewnym terenie zgadza się z Boyem, to „problematy — Boy“ są dla niego raczej odskocznią do własnych polemik, które przeprowadza z całą powagą; w tym przynajmniej wypadku zdarzyło się, iż jest uczeń ponad mistrza; Skiwski odsłania skandaliczne prawdy, tymczasem Boy z każdej cząstki prawdy robi skandal, ośmiesza ją sobą, kompromituje każdą porcję prawdy, którą weźmie pod swój patronat.

To też jeśli kiedyś przyjdzie do rozpraw nad niektóremi sprawami, które dziś zmonopolizowała szkoła „życia świadomego“, to w każdym razie nie Boy będzie tego sprawcą; jego interwencja może raczej tylko zniechęcać; sprawcą będzie sam twardy nacisk życia, które prędzej czy później zażąda uzgodnienia teoryj i praktyk; jeśliby zaś praktyki okazały się wyrazem nieuniknionej w jakiś sposób racjonalizacji życia, to teorje będą musiały je uwzględnić.

W każdym razie, rozprawy takie nie będą się odbywały *modo* — Boy; co dla niego jest legalnem i pożądanem zasadniczo — to dla kogoś może być tylko *malum necessarum*, kazuistyką przykrą a konieczną. Skoro się nie ma w sobie obaw wielkich i słusznych, powściągów głębokich, łatwo być tak śmiałym jak Boy. Występuje jako herold pewnych zagadnień; ale zagadnienia te jeszcze bardziej i to o wiele, przewyższają Boya, niźli przewyższa jego osobę Bibljoteka Boya — na rozsyłanej gęsto reklamie.

Łatwo jest mu być tak śmiałym w traktowaniu pewnych zagadnień, bo wogóle ideologja—Boy, metodologja—Boy jest kwintesencją łatwizny; ma on swoje aksjomaty, któremi wojuje, któremi rozwiązuje wszystko; a prostota tych aksjomatów jest tak nieporównaną, iż pojmie je każdy, nawet najbardziej zakuty łeb.

Ktoś podejrzewał Żeleńskiego, że jest w zmowie z jakąś tajną, destruktywną organizacją... Nigdy! odpowiedziałem kategorycznie: Boy ma dobre serce. To jedno. Boy ma pewien swoisty światopogląd, swoiste wartościowanie; oto drugie. Dobre serce, altruizm, humanitaryzm, oznacza pragnienie, iżby wszyscy brali udział w tem, co najwyższe, najlepsze. To też i Boy pragnie tego po swojemu, pragnie z całego serca, poczciwie. troskliwie. Troska jego ogarnia więcej, niż cały naród; on wszystkie mniejszości, wszystkie płci ludzkie, nie tylko dwie, ale trzy, albo cztery, zgoła wszystkich tuli do łona, wszystkich chciałby uszczęśliwić, zaspokoić. Z tą swoją wielką, serdeczną troską, nosi się przez wymiary czasu i przestrzeni; już w kolebce o tem marzył, a młodzieńcem w świat rzucił te słowa traiczne:

„Z tem największy jest ambaras
Żeby dwoje chciało NARAZ“.

Od tego ujęcia w czasie (syn-chronicznego), przejdzie, kiedyś w latach męskich, do ujęcia w przestrzeni (syn-topicznego): W jednej kamienicy mieszkają: starsza panna bez męża i młody bubek bez żony. Dlaczegożby nie miała się ona z nim podzielić tem, czego ona ma za dużo, a on za mało?...

Mon Dieu! czyż to nie jest prostota aż rozbrajająca! A któżby zresztą podglądał, zaglądał, czyhał, kto do kogo chodzi: to jest wiekuiste dzieło kumoszek. Ależ, niestety, kwestja nie ogranicza się do tej jednej kamienicy! Zagadnienie okropne, niepokojące zagadnienie czyha na ciebie, biedny synu Ewy złotowłosej, na każdym kroku: na wsi i w mieście, na plaży letniej i na jesiennem kartoflisku, na wirchach i w wędliniarni, na jarmarku i na uniwersytecie, w szkole i w urzędzie, w teatrze i na raucie, w salonie i w przedpokoju i zgoła w tramwaju, a najwięcej w autobusie, w czas upalny i w czas wichrowy czyha na ciebie, człowiecze, oczkujący i persckujący, ten Wielki Ambaras.

Jakżeż to, wprost rewelacyjnie, wyraził się Syrokomla:

„Chce się AMARE
Pod lata stare,
Chce się AMARI
BEZ KOŃCA I MIARY“.

Bodejże nic nowego pod słońcem... Więc i Boy'owa ideologja „ekonomji miłosnej“ może nie jest tak epokową, jak się to wydaje najpojętniejszej jego uczenicy, t. j. p. Krzywickiej, (która swoją drogą bardzo nie lubi, żeby tak odrazu, w taksówce, z łapami — jak to wiadomo z jednego jej orędzia), a która też, w dowód dobrego serca, troszczy się o rozmaite trajedje i która z naiwną, kobiecą konsekwencją naśladując, gesty łobuzerskie mistrza, troszkę szarżuje, zapomniawszy widać, że co śmieszne i dowcipne bywa u przekornego i sprytnego chłopaka, może być wcale niezabawne u dziewczynki. Ale to mimochodem; dość, że taka ideologja otwiera wspaniałe perspektywy dla udręczonej ludzkości. Palce lizać. Są jednak obawy, że nie we wszystkiem da się zrealizować, choćby dlatego, że nawet przy najlepszych widokach na przyszłość, może jeszcze pozostać w pełni znaczenia ten największy ambaras, ta traiczna synchronja...

Równie prostotą, jak aksjomatyka Boya-Żeleńskiego, jest jego metodyka, sposób rozstrzygania problematów erotycznych. Skoro już wielka synchronja spełniła się, to konsekwencje faktu są dlań obojętne. Właściwie nie obojętne, ale cała problematyka erotyczna, cała problematyka t. zw. wolnej miłości, wyczerpana jest jedną i jedyną receptą, ściśle i wyłącznie mechaniczną. Jest to nadzwyczaj uproszczony, do pewnego stopnia, rzekłbym, przedmiejski, kumoszkowaty, sposób traktowania rzeczy: „żeby nie było dziecka“... — i szlus! Ale, że wolne związki też wytwarzają swoje psychiczne komplikacje, jakieś konflikty wewnętrzne, że mają jakieś swoje zobowiązania i przywiązania, jakąś *quand même* odpowiedzialność strony silniejszej wobec słabszej, że pozatem i zbiorowość ma coś do powiedzenia na ten temat, że więc wytwarza się tutaj cała swoista i tragiczna nieraz problematyka, o tem nic nie wie Boy-Żeleński, urzeczony jedynie samem sednem swoich zagadnień, wpatrzony w ich centralny centr, oszołomiony swoim Wielkim Ambarasem. Jeśli Boy miał ambicję stać się wielkim erotologiem naszego piśmiennictwa, to nawet w tej dziedzinie chybił: uprościł sobie i obniżył problematykę erotyczną, aż do całkiem pospolitego banału.

I dlatego właśnie jest szkodliwy i niebezpieczny: Ten wielki patos młodości, ta pewna święta trwoga, z jaką młodość zdrowa i czysta przystępuje do rzeczy miłosnej, w atmosferze Bibljoteki Boya musi się zamącić, zwątlić, zanieczyścić, zwietrzeć. Tu wszystko jest bagatelne; tu wszystko załatwia się wygodnie, po filitersku, dowcipkiem, uśmieszkiem. Jeśli definicją „filistra“ jest, że niema dlań nic patetycznego, nic groźnego, nic o surowych konsekwencjach, nic przenikającego

odpowiedzialnością, aż do ostatnich gangljonów,— to Boy jest już umiejscowiony.

W ten sam bagatelizujący sposób traktuje historję; owszem lubi historję, ale tak, jak się ją lubi w zacisznym gabinecie, w zaufanem gronie erudytów, którzy znużeni chwilowo poważnemi zagadnieniami dziejów, teraz przy czarnej kawie opowiadają sobie plotki i anegdotki z przed wieku. Takie *otia* historyków, to dla niego cała historja. Najmilszym jego materjałem historycznym jest — apokryf. Jednym z jego humorystycznych utworów jest śmieszny apokryf na temat jak Sobieski poszedł pod Wiedeń — otóż cała pragmatyka tej wyprawy ściąga się pośrednio do tego, że pani Marysieńce zbił się pewien sprzęt sypialniany. Naturalnie, można i takie *witze* sobie stroić, poważna mina przy szklance nie uchodzi. Ale cała rzecz w tem, że z takiem samen „nastawieniem"—(przepraszam Czytelnika za to brzydkie słowo!) — „podchodzi" (drugi okaz modern-stylu [1]) — do historji prawdziwej. Wtedy „odkłamuje" na gwałt na wszystkie strony; ze swemi rewelacjami przychodzi do czytelnika z chytrze uszczęśliwioną miną chłopaka, któremu udało się z cudzego ogrodu, przez płot, przynieść dobrze strzeżone gruszki; byłoby to samo w sobie nieszkodliwe, może nawet i pożyteczne — bądź co bądź odświeża pewne tematy swemi prowokacjami; gorzej znacznie, że cała sfora głuptasów, czcząca wnim rewelatora, zaczyna z uciechą złośliwą, w całej wogóle historji, widzieć jeden wielki skandal. Ale i sam Boy na tem źle nieraz wychodzi; na pierwszą lepszą, wiotką, nieujętą plotkę siada jak na łysą kobyłę i zagalopowuje się — w kompromitację. Naturalnie, nie suponuje się tutaj jakiejś zupełnej obojętności na historję; nie podejrzewa się też bynajmniej o brak patrjotyzmu, bynajmniej! Boy-Żeleński ma swój, właściwy sobie, pobłażliwie uśmiechnięty, nawet dość ciepły sentyment i dla rzeczy swojskich i wogóle dla ludzkiego świata, owszem ma zanadto lotną inteligencję, ażeby go wiele nie zajmowało, tylko dlatego może być takim fejletonistą jakim jest; tylko że to wszystko jest „takie sobie", anegdociarskie, bez szerszego dziejowego tchu, prywatne. Boy jest prywatny aż do siódmej skóry.

Dlatego też i w historji widzi on tylko prywatnego człowieka, dlatego interesują go przedewszystkiem rozmaici spryciarze, żerujący na marginesie dziejowych przewrotów; historja jest dla Boya wesołym teatrzykiem, rewją, dla filutów z pod ciemnej gwiazdy, wyprawiających brewerje na tej scenie, ma tylko filuternie zmrużone oczko; tę sympatję dla spryciarzy-parwenjuszów, na którą składa się i jego przekora i ten pewien typowo filisterski, uśmiechnięty podziw dla powodzenia, tak daleko posuwa, iż odzywa się z pobłażliwością nawet o współczesnych sobie paskarzach — nie pomny przytem, on, humanitarysta[3]) — ile takie rozmaite kanalje sprawiły złego!... Ale za to jest „życie", ruch w interesie. Tego rodzaju „witalizm" jest jedną z przyczyn miru Boya w pewnych środowiskach.

Jakiż może być stosunek do polityki, człowieka tak prywatnego? Żaden. Wprawdzie powiadają niektórzy, że był zawsze i jest dotąd gorącym zwolennikiem Demokratycznej Unji Państwowej Aktywistów — ale to bajki. Jest nawskroś bezpartyjny. Czułby się najlepiej pod starym reżimem, pod Najjaśniejszym Panem, który już sam załatwia to, co na serjo, a poddanym pozwala za to, żyć prywatnie, jak się komu podoba, każdemu leżeć przed swoją beczką lub uprawiać swój mały sporcik. Libertynizm nie entuzjazmuje się do demokracji, która domaga się od obywateli odpowiedzialności za sprawy, w stosunku do własnych prywatnych bardzo abstrakcyjne, która domaga się od jednostki pewnego patetycznego i uciążliwego *„als ob"*. Nie jest zaiste Żeleński sympatykiem demokracji; a pozatem, jak przystało na mędrca, który wiele wie, godzi się na każdy system, byleby jemu dał święty spokój; jak przystało na historyka — humorystę, wszystko dla niego jest dobrą przyprawką do jakiejś w zanadrzu chowanej plotki, zresztą wszystkiemu pobłaża, wszystko rozumie; tylko tego nie rozumie i tym nie pobłaża, co jemu zewszechstron, nietylko od prawicy, lecz i od lewicy—jak się okazało—zaprzeczają godności profety, wodza, apostoła, martyra. Irytuje się zdumiony mistrz ze swoją gminką, dlaczego to na nich, co tak słodką i wesołą niosą naukę, akurat „wszystkie pieski szczekają"?!.. A przecież coś na tem musi być?...

Od jakiegoś czasu zaczął agitować w pewnych sprawach na serjo, na które tak lub owak można się zapatrywać, ale trzeba je uznać za sprawy, które rzeczywiście należą do kwestyj społecznych; uchwyciwszy oburącz swoją parcjunkulę prawdy, czuje się podniesiony na duchu i nawet przemienił się na obliczu swojem: ostatnie zdjęcia dają go jakimś natehnionym, mesjanicznym; tak to zetknięcie się z czemś na serjo nadaje człowiekowi wyraz. Tymczasem dalej nie ufają mu. Tego nie może pojąć. Warto zastanowić się nad tem.

Spróbuję to uczynić w kilku słowach i wyłącznie we własnem imieniu, a to w tem przekonaniu, że nie jestem jedynym, który myśli podobnie. Możnaby powołać się na wszystko, co powyżej—i powiedzieć, że świat patrzy nie tylko, na to co się mówi, lecz i kto mówi i jak. Ale wolę to wyłożyć dokładniej.

Żeleński domaga się pewnej racjonalizacji życia w pewnej dziedzinie, seksualnej. Otóż nawet założywszy ten sam postulat, można równocześnie gruntownie i radykalnie odrzucić całe tło psychomoralne, z którego u Boya wyłania się ten program: wyłania się on z tła, na którem się nie znaczy ani ślad zmysłu religijnego.

Zmysł religijny znaczy, że się człowiek wyrywa ponad samego siebie, ponad żywioł w sobie, ponad przyrodę. Tak w całej pełni czują i żyją tylko wybrani—święci. Ale na tych duchach wsparła się i rozbudowała cała ta kultura, która się zowie chrześcijańską. Pęd ponad ten świat, jest ostatecznym zaczynem cywilizacji chrześcijańskiej. W życiu szerokich mas zasada ta, jeżeli ma działać, to, z samej najgłębszej i podstawowej konieczności życia, ogromnie pomiarkowana i złagodzona; ale działa ona jako wychowanie w kierunku panowania nad sobą — *notabene* nietylko w dziedzinie seksualnej; ale ta dziedzina jest dlatego drastyczną,

---

[1]) (Nawiasem powiedziawszy, chciałbym ostatni raz już użyć tych „nastawień" i „podchodzeń", djabli wiedzą skąd naniesionych i tak szpecących inteligencką gwarę. Najlepsze jest, kiedy on do niej „podchodzi" aby „uchwycić" jej „profil psychiczny", a ona „przybiera" takie „nastawienie" itd.)

[3]) A w jego współczucie dla biednych chce się wierzyć, wspomniawszy, iż był on kiedyś w Krakowie założycielem, czy działaczem instytucji „Kropla mleka".

że tutaj jest wyjątkowo trudno, jeśli nie niemożliwe, pogodzić ze sobą te dwa smaki, smak seksualny i smak spirytualny. *Notabene*, amplituda osiągów indywidualnych w kierunku samoopanowania jest niezmiernie szeroka. Ale idzie przedewszystkiem o panujący w opinji publicznej kierunek etyczny. (I koniec końców, nietylko wprost, *explicite* religijne i chrześcijańskie wychowanie idzie według tego kierunku; nawet zlaicyzowana, byle nie zbrutalizowana kultura, układa się mniej lub więcej do tego kierunku równolegle. Na dnie jej nieświadomy, mistyczny wybór. Bo na takim wyborze polega chęć życia w kulturze wysiłku).

Naturalnie, może ktoś zakwestjonować samą dyrektywę naczelną, dyrektywę ponad przyrodę, w nadświat. Ale tu właśnie jawi się teosbecja, święta bojaźń i cześć przed tą tajemnicą, ostateczne *placet* woli. Stawia się tu pytanie, czy wolno, czy godzi się, pewnego razu odwrócić cały kierunek naszej cywilizacji, zdewaluować cały sens chrześcijaństwa?!.. Trzeba być zaiste bardzo odważnym, żeby się na to ważyć. Tak czynią bezbożnicy bolszewiccy.

Naturalnie Żeleński tego nie czyni, tak pryncypjalnie kwestji nie stawia, wolno przypuszczać, że takie typy, nieskończenie płaskie, brutalne i bestjalskie, są mu jako człowiekowi kultury zachodniej, antypatyczne. Ale *de facto*, przez swój natarczywy i napastliwy hedonizm, przez całą tę specyficzną atmosferę swej działalności pisarskiej, staje w ostrem przeciwieństwie do wychowania chrześcijańskiego. Napotyka odpór, co jest mu powodem, nie do zadumy, tylko do irytacji: nie odczuwa powagi świata, który mu się przeciwstawia; widzi tam tylko zacofanie, manjactwo, samolubstwo, nie widzi wyższego metafizycznego sensu w konserwatywnej etyce, bo nie ma żadnego smaku do tych rzeczy, wyjałowiony jest — Bóg wie, jak głęboko — ze zmysłu religijnego. I dlatego racjonalizacje seksualne, które on propaguje — nabierają pod jego piórem i na tle jego dotychczasowej osobistości znaczenia specyficznego: nie, przemyślanej w związku z całokształtem zagadnień kultury, kwestji socjalnej, — któraby się dopominała o jakieś rozwiązanie, przynajmniej tytułem *mali necessarii*, w ramach obowiązującego porządku etyki powściągu — lecz są tylko jednym z odcinków na szerokim froncie hedonistycznej ofensywy, łączą się np. odrazu z oburzeniem na kapłana, który wystąpił z obroną wstydliwości dziewcząt, etc. etc. I tak właśnie zachowuje się cała jego socjeta, zwłaszcza panie. Każdej uncji słuszności towarzyszy odrazu cały tonaż histeryczno-libertyńskiej indygnacji na wszystek, wiekami kultury, nawet nietylko chrześcijańskiej, wyrobiony, a nawet wprost naturalny, porządek rzeczy w danej dziedzinie.

To też dość tego mają nawet i ci, którym, jak się zdaje, specjalnie na religijnych założeniach cywilizacji nie zależy. Dlatego odpór dały Boyowi przodownicze intelekty lewicy, z Irzykowskim na czele. Ale jeśli w stronnictwach politycznych, nawet na lewicy, Boy nie zyskał klienteli, to działa tu jeszcze jeden moment, bardzo ważny.

Boy-Żeleński i jego towarzystwo przynoszą nam pełne naręcze pachnących kwestyjek; ale jakoś nikt nie ma czasu ni ochoty wąchać to i tem się bawić. Tu jest coś gorszego niż sprzeciw, jest obojętność. Zrozumiałe dlaczego:

Ktokolwiek wpięty jest swemi głębokiemi zainteresowaniami, mózgiem i wolą, w tem straszliwy zmóg współczesnej ludzkości o jakiś lepszy porządek świata, może byt lub niebyt — dla tego owe biedne, zboczone lub wypaczone typki i ich falliczne ambarasy, które nam tamci państwo prezentują — to są śmieciuszki, co je daleko, w tyle, poza sobą, zostawiły pokolenia, idące w przyszłość ciemną i nieznaną, pokolenia przeczuwające, że czeka je zgroza jakichś walk, niewiadomo jak okropnych. W tej atmosferze niebywałego dziejowego patosu, Boy-Żeleński, razem ze swym dowcipem sympatycznym i dowcipkami, talentem i stylem, tam i sam sentymentem, często gęsto zdrowym rozsądkiem, ze swym bagatelizującym uśmieszkiem melancholijno-dobrodusznо-przekornym, ze swym wielkim ambarasem, z ambarasami swych dwuznacznych pupilów, ta swoją historją filistersko-myszkującą, nawet ze swem akcydentalnie dobrem sercem i akcydentalnemi racjami, okazał się stanowczo za m i a ł k i. Dlatego to Boy wśród młodzieży, jakichkolwiek ugrupowań, byleby żywotnej, byleby rozgarniętej i sprężystej moralnie, młodzieży, którą wielkie sprawy otaczającego świata pociągają i zapalają, nie znajdzie klienteli, ni adoracji. Amerykański „bunt młodzieży“ burżuazyjnej, uprawiającej we własnych autach pijatyki i masturbacje, nie tak łatwo da się przeflancować na nasz grunt [2]).

Jeżeli we wszystkich środowiskach, żyjących szczerem życiem politycznem, napotyka Żeleński na odpór, to tembardziej musi napotkać go tam, gdzie się potężnie czuje grozę dziejową dookoła Polski.

Pokolenia, gotujące się do przeżyć bohaterskich, mają się hartować nerwowo, dlatego nie będą rozdrażniać sobie wyobraźni; będą wychowywać się nie w perfumowanej stęchliźnie zblazowanej burżuazji, ale w powietrzu surowem i czystem, popod niebem wysokiem, w szeroko rozwartych horyzontach, pod ciśnieniem potężnej odpowiedzialności. Wychowanie takie, przez przemieszczenie centrów uwagi, samo przez się stanowi regulację i sublimację naturalnego żywiołu erotyki. U takich chłopców i dziewcząt, ani Boy nie ma czego szukać, ani też oni u Boya; innego jakiegoś chcieliby barda, śpiewki na inną nutę.

Reasumpcja: Rozkoszujemy się Boyem recenzentem, podziwiamy Boya tłumacza, zazdrościmy Boyowi oprawcy; ale Boy-ideolog jest wartością zbędną. Nąd jego kwestjami humanitarno-frywolnemi nie mamy czasu ni ochoty głowy sobie łamać; kwestje humanitarno-społeczne, które on porusza, tracą czystość swoją i swoje na serjo, jeśli się okazują odcinkiem szerokiego frontu hedonistycznej ofensywy; obawialibyśmy się — ze względów hygjenicznych — Boya - mesjasza, Boya - wychowawcy, gdybyśmy nie byli pewni, że muskulatura psychiczna młodzieży, umysłowo i moralnie rześkiej, dostatecznie jest napiętą, aby nie dopuścić go do siebie.

KAROL LUDWIK KONIŃSKI

---

[2]) Nie chciałbym jednak pominąć tego, co się Lindsayowi, w komparacji, należy. Jakkolwiekbądź będziemy zapatrywali się na program i recepty Lindsaya, musimy przyznać, że ten jest człowiekiem na serjo, który zagadnienia swe traktuje w sposób czysty, stosunek jego do moralności płciowej jest w gruncie rzeczy konserwatywny, nie chce „buntu młodzieży“ podsycać, tylko go stwierdza, nie jest przekornym wiwerem — wesołkiem, rozgniatającym frywolitety na podniebieniu.

NA WIDOWNI

Oficjalny kult Wyspiańskiego. — P. Kaden-Bandrowski przemawia. — Wyspiański jako dodatek — „Droga utarta do rangi“... — Wyspiański na użytek „wychowania państwowego.“ — Konrad i Maski.

CZYTAŁEM różne, mniej lub więcej oficjalne przemówienia, wygłaszane publicznie podczas obchodów z okazji dwudziestopięciolecia zgonu Stanisława Wyspiańskiego. A na pamięć powracały mi wciąż uparcie słowa z „Wesela“:

„...oto droga utarta do rangi;
a ja gardzę, ja gardzę, ja plwam
na to wszystko ze serca szczerego —...
...a wstrętów coraz się mnoży
i cokolwiek słyszę, to mnie drażni“.

Weźmy dla przykładu urywki oracji, wypowiedzianej przez p. Juljusza Kadena-Bandrowskiego, dnia 27 z. m., na uroczystości w Teatrze Krakowskim. Cytuję za „Tygodnikiem Illustrowanym“, który mowę tę, zamiast artykułu wstępnego, wydrukował w ostatnim, specjalnie czci Wyspiańskiego poświęconym zeszycie:

„...To on w takim właśnie zespole ducha swego zdjął koronę cierniową ze skroni narodowej, to on wyżłobił ścieżki radości, mocy, któremi wkroczył zaraz wódz zwycięski, dzierżący w dłoni miecz. Gdy człowiek-miecza i uczynku, Józef Piłsudski, w ogniu i we krwi odrodził wreszcie granice wielkości narodu... itd.

...Oto nad nami Wódz, a oto przed nim śpieszy z wieścią sławy, największy prorok, w bezdennych naszych smutkach niefrasobliwy...“ itd.

Doprawdy, nie o Wyspiańskiego było mi przykro, kiedy odczytywałem przytoczone wyżej słowa. Z uśmiechem spoglądałem nawet na tego „Wodza“ przez wielkie „W“ i „proroka“ przez małe „p“. Wyspiański należy do Polski Wiecznej i przygodni organizatorzy fet jubileuszowych nie mogą nic ani ująć jego wielkości, ani nic dodać. Ale żal mi szczerze tych biednych ludzi, do których genjusz Wyspiańskiego sam przez się nic jeszcze nie mówi, dla których twórca „Wesela“ nabiera waloru dopiero przez to, iż zestawi się go z osobą urzędującego obecnie p. ministra spraw wojskowych. Nieszczęśliwe, wytresowane duszyczki, tak ułożone do „zasługiwania się“, licytowania się w gorliwości, że ani na chwilę nie są zdolne poddać się czarowi poezji bezinteresownie, że ich myśl nieustannie zaprzątnięta jest kombinowaniem, jakieby tu wyciągnąć atuty agitacyjne w doraźnej, politycznej „rozgrywce“!

Jakże puste, szare, nieciekawe musi być wnętrze takiej psychiki agitatorskiej, jakże świat cały musi wydawać się jej nudny, niezrozumiały, bezsensowny! Niezdolna do zachwytu (który z natury swej jest uczuciem kornem, bezinteresownem), ślepa jest i głucha nieuleczalnie na czarodziejskość otaczającego ją życia. Ani sztuka, ani przyroda nie odsłonią jej skrawka Tajemnicy. Obojętnie, zgoła nie rozumiejąc, o co chodzi, spogląda na ten „najpiękniejszy, najświętszy Boga tron na ziemi“, na to najcudowniejsze może dzieło Stworzyciela, jakiem jest „duch ogromnego wieszcza i człowieka“. Nie uniesie jej wzwyż „wiatrak niby ze skrzydły jasno słonecznemi, ciągle porywający świat kamienny w górę“...

Szczególnie złośliwy figiel losu sprawił, że właśnie ten drobiazg ludzki był na powierzchni, gdy w kolejności dat kalendarzowych nadeszła chwila złożenia hołdu pamięci Stanisława Wyspiańskiego. Wynik: bełkot frazesów napuszonych, mających udawać entuzjazm, ale bezsensem swym demaskujących bezwraźliwość i nieszczerość i, jako jedyna troska realna, chęć wyzyskania nadarzającej się sposobności dla aktualnej propagandy „sanacyjnej“. A Konrad z „Wyzwolenia“ gniewnie opędza się przed natrętctwem Masek, ucieleśniających różne odmiany małości i obłudy:

„Nie chcę nic, nic, — nic... nikogo: żadnych stronnictw, żadnych idei; one wszystkie upadły, — muszą upaść. Żadnych ludzi, osobistości; oni wszyscy muszą upaść, upadną. Chcę... żeby w letni dzień, w upalny letni dzień...

Chcę, żeby w letni dzień,
w upalny letni dzień
przedemną zżęto żytni łan,
dzwoniących sierpów słyszeć szmer
i świerszczów szept i szum...“

— — — — — — — — — — — — — — — — —

„Oto droga utarta do rangi“... Jakże tłoczno dzisiaj na tej drodze, jaki wyścig, jakie rozpychanie się łokciami!..

Leży przedemną książka, napisana przez nauczyciela polonistyki w Korpusie Kadetów nr. 1 we Lwowie, wydana tamże nakładem Drukarni Urzędniczej, pod wiele obiecującym tytułem: „Wychowanie państwowe a twórczość Wyspiańskiego“. Autor, dr. Walerjan Kwiatkowski od samego początku wyraźnie poleca się ze swą „ideologją“:

„Przy wychowaniu bowiem państwowem dzisiejszej młodzieży należy liczyć się z tem, iż z atmosfery domu rodzinnego bardzo często młodzież ta wynosi ducha antypaństwowego... Chcąc więc w młodzieży tej państwowego zaszczepić ducha, chcąc wzwyczaić ją do pracy nie dla partji, nie dla klasy, nie dla „narodu“ tylko, lecz dla całego państwa, trzeba... wykazać jej wszelkie braki systemów... jako ideał stawiających sobie dobro nie realnego tworu państwowego, lecz jakiejś jego poszczególnej cząstki lub też mistycznie pojętego „narodu“ “... (str. 2).

Już za samo to drukowanie „narodu“ w cudzysłowie, „realny twór państwowy“ musi chyba wywdzięczyć się przemyślnemu autorowi awansem czy przynajmniej jakimś dodatkiem funkcyjnym lub drożyźnianym. Ale dr. Walerjan Kwiatkowski nie zamierza pozostawać w sferze ogólników. Aby być całkiem jasnym, opowiada, jak to uczniowie jego:

„W kwestji żydowskiej... rozważają na podstawie Wesela zagadnienie, czyby nie można żydów, nieufnych dotąd, jak stary karczmarz z tego utworu, zaangażować do pewnej współpracy, podobnie jak zaangażowana do niej została córka karczmarza Rachel. Twierdzą przytem, że Wyspiański wskazał nawet w pewnym stopniu formy, w jakichby Żydzi polscy współpracować mogli z Polakami...“ (str. 33 — 34).

Panie wiceprezesie klubu B.B., pośle Wiślicki! Pan już przecież jest „zaangażowany do pewnej współpracy...“ Zainteresuj się pan autorem omawianej książeczki! Czyż wypada, ażeby takie talenty więdły na skromnem stanowisku nauczyciela gimnazjalnego we Lwowie?

Książkę swą zadedykował dr. Kwiatkowski szkole, gdzie wykłada, a „w której duch Wyspiańskiego znajduje pełne zrozumienie“. Rzecz ułożona jest tak dowcipnie, że najlepiej w sferach oficjalnych notowane poglądy podaje autor nie wprost od siebie, ale jako opinje swych wychowanków, któ-

re on właściwie porządkuje tylko i referuje. Jak wynika, uczniowe ci (sprytne, panie dziejku, chłopaki!), omawiając „Wesele“ czy „Wyzwolenie“, całą myśl swoją wysilają w tym jednym kierunku, by jaknajprędzej odbiec od tematu i zacząć sypać, jak z rękawa, cytatami z odezw i mów min. Piłsudskiego, chwalić wyprawę kijowską, „powoływać się i na maj 1926 r.“, albo „bez długich zastanawiań się“ zwalczać gwałtownie „t. zw. narodowych demokratów“. Jako zaś rezultat ostateczny, stwierdzenie, iż

„...młodzież w człowieku tym widzi zwykle wcielenie dum i marzeń i tęsknot Wyspiańskiego, porównując bez żadnyzh zastrzeżeń Konrada z Wyzwolenia z Józefem Piłsudskim...“ (str. 77).

Naturalnie, wyniki takie nie byłyby możliwe bez systematycznej pracy nauczyciela, to też dr. Kwiatkowski niejednokrotnie przytacza dla przykładu własne rozmowy, gdzie umiejętnie kieruje myśl swoich pupilów na pożądane tory, wyznaje też mimochodem, iż

„...celem poparcia tego rodzaju argumentacji mych uczniów, mam zawsze pod ręką wyjątek z rozkazu Józefa Piłsudskiego z dnia 5 sierpnia 1915 r...“ (str. 41).

Albo znowu:

„Mam też... w takim wypadku pod ręką przemówienie Marszałka Piłsudskiego z II zjazdu legjonowego we Lwowie z r. 1923, znane w druku pod tytułem O wartości żołnierza legjonowego...“ (str. 42).

„Zawsze pod ręką“ parę mów, na wszelki wypadek!...

To też autor książki naprowadza czytelnika na wniosek, że właściwie we wszystkich szkołach w Polsce mogłyby zapanować stosunki podobne, jak w Korpusie Kadetów Nr. 1 we Lwowie, rzecz prosta, jeśliby pokierowali sprawą ludzie odpowiednio wykwalifikowani, gdyż do tego „trzeba przedtem dość wielkich przygotowań z zakresu historji“. Z młodzieżą bowiem nie jest wcale tak źle, jakby się na pozór wydawało. Kult marszałka Piłsudskiego — twierdzi dr. Kwiatkowski —

„istnieje wśród młodzieży większy, niż się starsi spodziewają, a jeśli starszym nieznany, to tylko dlatego, że zabraniają o tem ze sobą mówić. Organizacje akademickie „antimarszałkowskie“ nie są bynajmniej dowodem czegoś przeciwnego. To są przeważnie — w stosunku do większości ich członków — rezultaty zaparcia się przekonań „dla chleba“, dla dachu nad głową w gmachach Bratnich Pomocy..“ (str. 50).

Swoją drogą, ci młodzi wyznawcy „kultu“ nie odznaczają się zbytnią ofiarnością, ani odwagą...

Ale przecież nie poto przytaczam wyjątki z dziełka dr. Kwiatkowskiego, czy z mowy p. Kadena-Bandrowskiego, ażeby z niemi polemizować... Czyż ci ludzie zupełnie już nie zdają sobie sprawy, na jakim poziomie się znaleźli, na jakim szczeblu rzetelności umysłowej i szacunku dla siebie samych, czyż nie orjentują się już zupełnie, jakie czynią z siebie widowisko? Wzgardą i gniewem dźwięczą słowa Konradowe w „Wyzwoleniu“:

„Alboż ty wiesz, co jest Słowo?... Jeśliś go tak nadużył?...
Jakże ty człowieku myślisz o sobie! O swojej duszy!...
Ty nie rozumiesz jednego wyrazu. Nic, nic, nic...
Cha, cha, cha, cha! Bierz kruż! Do studni, do studni! Dalej, precz! Pleć, pleć! Noś tę wodę, lej potoki, kaskady, pluskaj! Bierz kruż, dalej!“

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

W CAŁEJ OBFITEJ DYSKUSJI, jaka się wywiązała około kwestji zapłaty rat grudniowych przez państwa europejskie Ameryce, i tak żywo zajęła prasę, opinję publiczną i rządy zainteresowanych krajów, jedno jest szczególnie zastanawiające. Jak mogło się to stać, że dla państw dłużniczych termin płatności przyszedł z takim jakby prima-aprilisowym efektem niespodzianki? Czyżby państwa te nie wzięły zgóry pod uwagę potrzeby dalszego spłacania zaciągniętych długów? Czemuż rata grudniowa europejskim dłużnikom Ameryki zaciążyła tak nieznośnie? Niewątpliwie „kryzys“ do tego już stopnia przeobraził stosunki gospodarcze, że państwa europejskie nie mogą, jak dotychczas, być poprawnymi dłużnikami Stanów. To pierwsza nowość. Druga — to nieprzygotowanie tych państw do uiszczania na koszt własny długów, które dotąd pokrywane były przeważnie lub całkowicie z pieniędzy, wpłacanych przez Niemcy na poczet odszkodowań. Właśnie — lecz jak mogła powstać taka sytuacja? Niemcy od odszkodowań (w gruncie rzeczy) zwolnione; państwa koalicyjne oczekujące od sojuszniczki amerykańskiej zwolnienia — bezzasadnie? Jak możliwa była taka pomyłka, zwłaszcza w krajach, mających nader ściśle stosunki z Ameryką, i niby znających ją gruntownie — w krajach takich, jak Francja, a przedewszystkiem Anglja? Jak mogła polityka tych krajów tak się przeliczyć, że moment, po którym obiecywano sobie ulgę i wytchnienie, w rzeczywistości przyniósł dotkliwe obciążenie?

NIE WCHODZIMY W HISTORJĘ UKŁADÓW i mniej czy więcej wyraźnych obietnic, które sprawiły, że główni dłużnicy Ameryki oczekiwali od niej uregulowania całej kwestji długów wojennych i skwitowania z należności, gdy tymczasem Ameryka uważała, że nic się nie zmieniło, i zapłata jej się dalej należy. Chodzi nam o to, że to rozczarowanie rzeczywiście nastąpiło. Niewątpliwie sytuacja, jaka powstała, nie była całkowitą niespodzianką dla kierowników polityki zagranicznej państw europejskich. Ale trudnoby powiedzieć, że kierownicy ci w przewidywaniach swych nie popełnili żadnej pomyłki. Widoczne jest przecież, że zarówno w postępowaniu względem Niemiec jak i w stosunku do Ameryki dopuścili się nieprzezornie błędów, które dziś postawiły ich w trudnem położeniu. W chwili, gdy to piszemy, jest rzeczą niemal pewną, że zarówno Anglja, jak Francja i inne państwa dłużnicze zapłacą, z zastrzeżeniami, których Ameryka nie przyjmie do wiadomości. Honorować mają ratę grudniową, zastrzegając, że nie będą jednak honorować długów nadal. Nie jest to krok przyjemny dla państw, których społeczeństwa, wychowane w kulturze kupiecko-kapitalistycznej i dotąd przodujące zamożnością, przywykły poczytywać innym niesumienność płatniczą za jedną z najgorszych zbrodni. W rzeczywistości cóż się stało? W sprawie, będącej w istocie zagadnieniem polityki międzynarodowej, nagle interwenjowała opinja amerykańska — opinja ciemnej prowincji. Nowy kongres wybrany został przez masy amerykańskie, które nic nie chcą słyszeć o rewizji długów.

Opinja tych mas nie widzi żadnej racji, żeby zrzec się sum, które Europa, jeśli ich Stanom nie odda, napewno przeznaczy na zbrojenia. Sama taka propozycja wydaje się im niemoralna. Poglądy te znajdą rzeczników w ludziach, którzy na szereg lat zasiądą, po ostatnich wyborach, w kongresie amerykańskim, na miejscu posłów, co dotychczas tam zasiadali, wybrani byli przez tę samą opinję amerykańską i wyznawali te same poglądy na kwestję długów. Cóż znaczą noty Mac Donalda, Herriota, czy polskiego ministra spraw zagranicznych w kwestji, którą chce po swojemu rozstrzygać odległa amerykańska prowincja? Wysyłane były po kilka razy. Czy były potrzebne? Nic nie wskórały u Hoovera. Czy zmieni się stan rzeczy i odmieni usposobienie kongresu przedstawicieli prowincji politycznej amerykańskiej, gdy w Białym Domu zasiądzie przeciwnik Hoovera, demokrata Roosevelt? Czy też państwa europejskie pośpieszą kupić zwolnienie z długów — miłym dla oczu amerykańskich czynem rozbrojenia? Obecnie, jak się zdaje, „polityka międzynarodowa" wchodzi właśnie na tę ostatnią drogę.

TEN PRZYKŁAD AMERYKAŃSKI dowodzi, że pożytecznie jest nie zapominać, jakie znaczenie ma selekcja ludzi, którzy dziś stosunki międzynarodowe konkretnie „regulują", czy to w sposób codzienny, czy na arenie centralnej instytucji międzynarodowej — Ligi Narodów. Wszędzie prawie do kierowniczej roli dochodzą przedstawiciele interesu narodowego — ale w tem niema nic dziwnego. Gdzie tylko obcy nie narzucali przez czas dłuższy swojej polityki, wszędzie tam w gruncie rzeczy niema nic innego, oprócz różnych postaci nacjonalizmu; chodzi tylko o to, co dochodzi do głosu i znaczenia: czy nacjonalizm światlejszy, więcej wiedzący o świecie, lepiej znający narody obce, politycznie wytrawniejszy — czy nacjonalizm prymitywniejszy, bardziej naiwny, mniej ogładzony i świadomy rzeczy, z silnie wyrytem piętnem umysłowej prowincji.

Otóż obecnie tak się składają okoliczności, ze przeważnie tylko ten drugi rodzaj polityków technicznie załatwia sprawa stosunków międzynarodowych. Pomyślmy, jak się rzecz ma w demokracjach: tam na czoło polityki wysuwa się typ działacza, który bez względu na zalety osobiste, i na wszelkie poparcie, jakie może mu być udzielane przez niewidocznych protektorów, jeden talent posiadać musi przedewszystkiem: talent wygrywania tłumu, talent demagoga. Talent ten, zamieniony następnie rutyną, przeprowadza go przez zebrania wyborcze do parlamentu, a przez parlament — do sali obrad Ligi Narodów lub innych konferencyj międzynarodowych. Ta rutyna demagogji, odpowiedniej dla mas kraju, z którego wyszedł, jest często wszystkiem, z czem taki delegat przychodzi wziąć udział w naradach międzynarodowych. Niezawsze lepiej sprawa się przedstawia, gdy mianuje swoich delegatów zagranicznych dyktatura. Nie są to wtedy zazwyczaj przedstawiciele szerokiej prowincji umysłowej, ale często przedziwnych zakamarków i zakątków. Polska np. reprezentację w Lidze Narodów i propagandę zagraniczną powierzyła niemal bez wyjątku — Żydom.

Nic dziwnego, że w tych warunkach, mimo istnienia tylu instytucyj międzynarodowych i pomnożenia się tak znacznego sposobności do oficjalnych stosunków między narodami, w zgiełku a często i szwargocie rozmów trudno dosłyszeć akcent zrozumienia dla tego, co nie jest iluzją, a rzeczywistością historyczną i kulturalną — dla idei Europy.

ŻYDZI, ZAKŁOPOTANI GROŹNEM DLA NICH ZJAWISKIEM ŻYWIOŁOWEGO ANTYSEMITYZMU POLSKIEJ MŁODZIEŻY AKADEMICKIEJ, usiłują wytłumaczyć je w sposób jak najbardziej dla siebie wygodny. Jednym z walnych argumentów jest sprowadzanie akademików narodowych do kategorji „młodzieży burżuazyjnej".

„Nasz Przegląd" przeprowadza tezę ową z drobiazgową konsekwencją. Zawsze przeciwko żydom występują „korporanci", zatrzymani w rozruchach studenci ubrani są z reguły w „czapeczki korporacyjne". Wystarczy atoli spojrzeć nie na plansze „Cyrulika", ale na pierwszą lepszą fotografję manifestacji akademickiej, aby zobaczyć, jak dekle korporacyjne giną w powodzi białych czapek Uniwersytetu, bronzowych Politechniki, zielonych W. S. H., szarych S. G. G. W., wreszcie demokratycznych kapeluszy.

Nie znaczy to, aby młodzież korporacyjna nie była narodowa. Mimo sztucznego tworzenia przez „sanację" pseudo-korporacyj (nie należących do Zw. Polsk. Korp. Akad.) — czapka korporacyjna świadczy nadal o przekonaniach narodowych. Ale korporanci są jedynie częścią młodzieży narodowej. Ogromna większość do korporacyj nie należy, a mimo to jest gorąco narodowa.

Idąc konsekwentnie po obranej linji, „Nasz Przegląd" z 3 b. m. tłumaczy, że „inteligencja antysemicka, to inteligencja burżuazyjna" i że gdy przez swe walki z żydami „zaszczepi swe zdziczenie inteligencji proletarjackiej, to rychło może się okazać, że sama padnie ofiarą podobnych gwałtów, jak obecnie żydzi i będzie biadała nad tem, że niema straży bezpieczeństwa (państwowej lub rektorskiej), która zdoła obronić ją przed napadami".

Cały fałsz tego stanowiska uwidocznia się natychmiast, gdy się sobie uprzytomni, że Wacławski był synem chłopa na ośmiu morgach, a więc typowym przedstawicielem „inteligencji prolerjackiej".

Wystarczy czytać nazwiska studentów, aresztowanych, skazywanych, relegowanych za walkę z żydami, aby zobaczyć, jak wielki ich procent pochodzi ze środowisk „proletarjackich".

Ruch, skupiający się pod sztandarem Wielkiej Polski, nie jest ruchem burżuazyjnym, tak jak — *toute distance reservé* — nie jest nim Hitleryzm w Niemczech czy Cuzizm w Rumunji.

Żydzi, dla których hasła walki klasowej, rozbijające społeczeństwa aryjskie, były przez pół wieku puklerzem, chroniącym ich od gniewu ludów, nie chcą zrozumieć, że okres ten może się skończyć. Są zbyt inteligentni, żeby tego wogóle nie widzieć, ale usiłują wmówić w siebie i w innych, że to jest objaw przejściowy.

Przestrzegając „burżuazyjną" młodzież polską przed proletarjatem (w zadziwiającej wprost trosce o jej dobro), nie widzą żydzi nic groźnego w fakcie, że „burżuazyjna" młodzież żydowska tworzy nacjonalistyczne związki bojowe *(Brith Trumpeldor)*, nietylko u nas, ale i w Palestynie, że napadając na Arabów, „zaszczepia swe zdziczenie inteligencji proletarjackiej"; nie boi się, że ta młodzież „padnie ofiarą podobnych gwałtów".

Jeśli nacjonalizm żydowski cementuje społeczeństwo żydowskie, to czemuż idea narodowa polska ma rozbijać nasze społeczeństwo?

Nietylko inteligencja proletarjacka, ale cały proletarjat polski ma dzisiaj dwie drogi do wyboru: albo komunizm, albo nacjonalizm. To, że coraz powszechniej porzuca sierp i młot na rzecz szczerbca — sprawia, że żydzi poczynają się obawiać nie na żarty. Stąd przytoczona kampanja prasowa.

NIESŁYCHANY SKANDAL (tak nazywają ten wypadek w Warszawie) zdarzył się w świecie handlowym. Sąd handlowy odmówił zarejestrowania spółki żydowskiej zagranicznej, o której było wiadomo, że stara się o uzyskanie w Polsce monopolu na kawę. Na czele tej spółki, jako prezes, stoi p. Aleksander Robertowicz Lednicki.

Zapewne będzie apelował. W czasie wojny p. Lednicki zajmował się aferami politycznemi, w których przedmiotem afery była cała Polska. Wtedy z powodu procesu, który miał odwagę wytoczyć publicyście polskiemu, zdania prawników się podzieliły. Jedni przyznali publicyście rację. Ale wtedy p. Lednicki podburzył innych, że to jest stanowisko nacjonalistyczne, a on jest dumny z tego, że nigdy nacjonalizmem się nie splamił. Wtedy inni prawnicy powiedzieli tak: jest to sprawa poglądu politycznego, czy Polska ma być zjednoczona i wolna, czy też ma pozostać pod zaborem. Pogląd ten oczyszczał z winy.

Ciekawa rzecz, co będzie teraz. Czy i w sprawach ruiny handlu polskiego, zamiar p. Lednickiego oceniony będzie ze stanowiska tak liberalnego. Ile że za p. Lednickim stoją żydzi, którzy też zwalczają nacjonalizm polski.

O jedno was prosimy, szanowni czytelnicy: nie martwcie się o losy p. Lednickiego. On sobie poradzi. Jego to są czasy, nie wasze.

NAUKA I LITERATURA

CHINY I JAPONJA

ZAGADNIENIA Dalekiego Wschodu zaczynają odgrywać coraz ważniejszą rolę w dziedzinie polityki międzynarodowej. Znane są powszechnie tezy Dmowskiego w tym względzie. Z pośród tych zagadnień problemem naczelnym w obecnym okresie stała się oczywiście sprawa konfliktu Chin i Japonji i powstania państwa mandżurskiego w jego istotnej roli narzędzia polityki japońskiej.

Całe to wielkie zagadnienie ma niejako dwa oblicza. Spór chińsko-japoński posiada bowiem nietylko znaczenie „lokalne“ jako czynnik doniosłych przeobrażeń w stosunkach gospodarczo-politycznych na Dalekim Wschodzie, ale również i znaczenie ogólne, wynikające przedewszystkiem z faktu, że stał się jakgdyby próbą ogniową całego powojennego pacyfizmu jako systemu organizowania pokoju z Ligą Narodów i Paktem Kelloga na czele. Do tego dołącza się specjalny, polski punkt widzenia: wielka „gra“ nad Pacyfikiem wciąga z konieczności Rosję Sowiecką, czyniąc jej „odwrót polityczny“ z Europy czemś coraz bardziej ugruntowanem, co, rzecz prosta, nie może być dla nas obojętne.

Z powyżej przytoczonych względów na specjalną uwagę zasługuje studjum Witolda Bronowskiego p. t. „Konflikt zbrojny Chin i Japonji“, wydawnictwo kwartalnika „Wschód“ str. 26, które, aczkolwiek nie obejmuje ostatnich perypetyj na terenie Mandżurji oraz na terenie Ligi Narodów, w związku z raportem lorda Lyttona (praca Bronowskiego ukazała się w sierpniu b. r.), stanowi tem nie mniej jasne, a treściwe wprowadzenie w cały ten preblem. Jest to przytem jedyne opracowanie w języku polskim tego tematu, w jego treści politycznej i gospodarczej.

Autor zgrupował materjał w kilku rozdziałach. W uwagach wstępnych omawia znaczenie konfliktu japońsko-chińskiego, w rozdziale p. t. „Problem mandżurski“ daje niezłą rekapitulację historyczną, w rozdziałach „Znaczenie gospodarcze Mandżurji“ oraz „Partnerzy“ wyjaśnia wartość „stawki“ oraz charakteryzuje obie zainteresowane strony. Wreszcie w rozdziałach „Dalsze i bliższe powody konfliktu“ kreśli obraz dotychczasowych wypadków w tym niezakończonym jeszcze, oczywiście, łańcuchu faktów militarnych i politycznych. Pracę uzupełnia wykaz bogatej bibljografji oraz streszczenie w języku angielskim. Doniosłe tematycznie i bardzo inteligentnie napisane studjum Bronowskiego znaleść się powinno w ręku każdego publicysty, zajmującego się poważniej polityką zagraniczną jak również i każdego „amatora“ historji dyplomatycznej. (L).

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Ukazała się nowa książka prof. Romana Rybarskiego „Przyszłość gospodarcza Polski“, stanowiąca uzupełnienie poprzedniej pt. „Przyszłość gospodarcza świata“. Jest to właściwie jedna książka, podzielona na dwa tomy. Nie można się ograniczyć przestudjowaniem pierwszej części, żeby znaleźć odpowiedź na palące pytanie: co robić w Polsce? Prof. Rybarski przeprowadza tezę, że przyszłość narodów zależna będzie od tego, o ile trafny ustrój gospodarczy sobie wybiorą; ale mimo wielkiej zależności wzajemnej krajów, przyszłość narodu nie zależy od światowej konjunktury, lecz od kierunku i wartości polityki narodowej w każdym kraju zosobna. Polskę czeka wielki wysiłek twórczy. Prof. Rybarski w książce, traktującej o Polsce, daje obraz naszego gospodarstwa i wyprowadza linję dalszej ewolucji. Nie jest romantykiem gospodarczym, ale też obca mu jest wiara w fatalizm. Jest zdania, że przed zdrowym narodem nie można ukrywać dolegliwości i potrzeby wysiłków; czekają nas ciężkie walki— nie można usypiać czujności.

Dzieło składa się z 11 dużych rozdziałów takich, jak: 1. Ogólne przesłanki i fakty, 2. Kapitalizacja, 3. Bilans płatniczy, 4. Handel zagraniczny, 5. Kredyt i obce kapitały, 6. Ciężary publiczne, 7. Kartele i wolna wytwórczość, 8. Zagadnienie robotnicze, 9. Struktura społeczna, 10. Podstawy ustroju, 11. Wychowanie gospodarcze.

Jest tu uwidoczniony stan gospodarczy Polski w przekroju obecnym z wyjaśnieniem przyczyn historycznych i dróg w przyszłość.

Książka, pomimo pozornie niewielkich rozmiarów, mieści całą wiedzę o Polsce i wykład przewodniej myśli, obowiązującej każdego Polaka. Jasność wykładu łączy się z właściwą autorowi zwięzłością. Szczęśliwe to zdarzenie, że dostaje się nam w rękę w tej chwili decydującej taka książka. Minęły już czasy, kiedy inteligent polski był dumny z tego, że nie zna się na sprawach gospodarczych, gdy cieszyły go tylko te niwy, gdzie dużo było maku, chabru i kąkolu. Teraz każdy przeczyta książkę prof. Rybarskiego i z potrzeby i dla przyjemności. Bo wielką jest przyjemnością w czasach mroczenia się świata mieć jasno w głowie.

*

W wydawnictwie naukowem „Prace historyczno-literackie“, wychodzącem w Krakowie pod redakcją prof. Ignacego Chrzanowskiego, ukaże się wkrótce obszerne studjum młodego historyka literatury Juljusza Nowaka p.t. „Satyra polityczna Sejmu Czteroletniego“. Jest to gruntowna praca, oparta na nieznanych dotąd materjałach, lub niezużytkowanych, odnalezionych w archiwach petersburskich. Przyczyni się ona znakomicie do wypełnienia luk, istniejących dotąd w obrazie literackim ruchu umysłowego tego ważnego okresu.

*

Nakładem firmy Gebethnera i Wolffa wyszedł zawczasu na gwiazdkę cały poczet pięknych książek dla młodzieży i dzieci. Na pierwszem miejscu zanotować trzeba najnowszy utwór Kornela Makuszyńskiego, za którego książkami młodzież przepada. Kiedyż się śmiać, jeśli nie w młodości! Tytuł tej książki, ilustrowanej przez Stefana Norblina: „Panienka z mokrą głową“. Wiemy, co to znaczy i, nie bacząc na siwy włos, przed schowaniem do szafy, aby dzieci nie

znalazły, czytamy z upodobaniem. — Dla małych dzieci napisał Makuszyński inną książeczkę: „120 przygód koziołka Matołka". Jest to przezabawna chryja, złożona z ilustracyjek Walentynowicza objaśnionych przez Makuszyńskiego wierszykami. Dla małych dzieci również wyszły tutaj „Moje wierszyki" Ewy Szelburg Zarembiny, ilustrowane przez Wandę Zawidzką, „Mała Tereska" Antoniego Bogusławskiego z ilustr. Stan. Bobińskiego, oraz Cecylji Niewiadomskiej „Powiastki króciutkie dla małych dzieci" z rys. J. Holewińskiego. Jest to już piąte wydanie tej znakomitej książki.

W serji książek dla młodzieży wyszły w drugiem wydaniu „Dzieci pana majstra" Zofji Rogoszówny powieść wierszowana, bogato ilustrowana. Dalej „Wyprawa po Skarby" (z franc.) w przekładzie M. J. Zaleskiej (ilustr.), „Gucio zaczarowany", słynna powieść Z. Urbanowskiej (wyd. V), „Ala w krainie czarów" Lewisa Carrola (z ilustr.) w przekładzie z ang. M. Morawskiego.

*

Ogłoszona niedawno w „Myśli Narodowej" i wydana potem osobno rozprawa Stanisława Cywińskiego p. t. „Symbolika Wesela" dała pochop p. Stanisławowi Szczutowskiemu do uwag polemicznych i do zajęcia się nanowo „Weselem" Wyspiańskiego ze stanowiska stosunku dramatu artystycznego do dramatu rzeczywistości polskiej. Szczutowski ogłosił swoją pracę w trzech zeszytach „Przeglądu Powszechnego" i teraz wydał ją w odbitce książkowej p. t. „Nad głębiami Wesela. Tragedja rzeczywistości polskiej". (Kraków 1933, str. 64). Cała ta duża praca poświęcona jest interpretacji literacko-publicystycznej poszczególnych scen i słów „Wesela" wbrew temu, co autor na początku ustalił, że „dzieło wielkiej sztuki to nie jest rozprawa naukowa czy publicystyczna, by do niej podchodzić można było od strony wyłącznie pojęciowego śledztwa". Niemniej praca jest bardzo interesująca i charakterystyczna.

*

Nakładem księgarni św. Wojciecha ukazały się na gwiazdkę bardzo starannie dobrane i wydane książki dla młodzieży. A więc: Emilio Salgari „Władca ognia" (z ilustr.), Walerji Szalay Groele „Szatańskie złoto", powieść (ilustr. W. Swierczyńskiego), Gustawa Morcinka „Narodziny serca". Powieść dla młodzieży z ilustr. W. Swierczyńskiego. Jedna powieść tłumaczona z najlepszej literatury zagranicznej i dwie oryginalne. Pierwszy to występ Morcinka na polu literatury dla młodzieży.

*

Najpiękniejszym podarkiem gwiazdkowym będzie w tym roku wydana przez Tow. Wyd. Patria książka Stefana Godlewskiego „Warszawa". Z legend związanych z życiem stolicy cztery znalazły tutaj artystyczne ucieleśnienia. Łazienki, Katedra św. Jana, początek Warszawy i Wokulski Prusa. Krytyka uznała ten utwór za najprzedniejszy w literaturze lat ostatnich. Cena 5 zł. Książka jest na składzie w Domu Książki Polskiej, ale powinna być do nabycia w każdej księgarni. Na podarek kwalifikuje ją także bardzo kunsztowna szata typograficzna.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Z wydawnictw, odnoszących się do wielkiej wojny, zanotować należy ukazanie się „Pamiętników" marszałka Joffre'a (Plon, tom jeden), o których w krytyce francuskiej odzywają się głosy, iż, gdy chodzi o jasność przedstawienia rzeczy oraz głęboki zmysł rzeczywistości, dadzą się one porównać z nieśmiertelnemi dziełami Tucydydesa i Juljusza Cezara. Karty „Pamiętnika" tego stwierdzają niezbicie, jak decydującą rolę w wypadkach, które zakończyły się stanowczem zwycięstwem wojsk sprzymierzonych nad Marną, odgrywała spokojna energja oraz jasna świadomość zdarzeń, zachodzących na olbrzymim terenie walki, jaką się odznaczał marszałek Joffre. (W. J.)

*

Nagroda Akademji Goncourt'ów została przyznana w tym roku młodemu autorowi, p. Guy Mazeline, za jego powieść p. t.: *„Les Loups"* (Wilki). Autor należy od szeregu lat do dziennikarstwa paryskiego i napisał już dawniej parę powieści, *„Porte Close"*, *„Un royaume près de la mer"*), które nie miały wszakże większego powodzenia. Nagrodzona powieść odznacza się naprzód tem, iż jest to olbrzymi tom o 630 stronicach, rozwiązuje słowem kwestję długich powieści w ten sposób, że zamiast wałkować je w kilku tomach, co mogło nieraz odstręczać czytelnika, zmieszcza ją w jednym.

Następnie jest to powieść, będąca na czasie, t.j. zajmująca się zatargami rodzinnemi, słowem odpowiada upodobaniom i tendencjom chwili. Jak wnosić można z głosów krytyki, powieści tej daleko jeszcze do tego, by ją można było uważać za arcydzieło, autorowi wszakże wróżą piękną przyszłość, gdy dojdzie do zupełnej dojrzałości i pozna lepiej życie. (W. J.)

*

Zagadnieniem dziś bardzo aktualnem czy następuje już przełom kryzysu zajmuje się Feliks Somary w swojej nowej broszurze: *„Kriesenwende"* Berlin Fischer-Verlag 1932, s. 59. Autor widzi szereg trudności, stojących na przeszkodzie do poprawy sytuacji. Do nich zalicza różny stan zaufania w różnych krajach, wyrażający się w różnej stopie procentowej, dysproporcję między zapotrzebowaniem, a podażą kapitału, wreszcie bankructwo organizacyj międzynarodowych. Mimo to autor uważa przemianę na lepsze za możliwą, gdyż ceny surowców spadły bardzo zachęcając do rozszerzania produkcji, a jednocześnie istnieją duże masy kapitałów, szukających lokaty. Autor wypowiada się przeciwko sztucznym środkom likwidacji kryzysu, w rodzaju planu Hoovera. Jako konkretne środki naprawy autor wykazuje porozumienie krajów europejskich ze Stanami Zjednoczonemi w sprawie długów, dostosowanie wydatków publicznych do dochodów oraz oparcie walut na naprawdę trwałych podstawach. Autor nie przesądza, czy świat pójdzie po tej drodze ku naprawie, a w każdym razie przestrzega przed nadziejami, że okres najbliższy. nawet w najlepszym razie, będzie okresem jakiejś nadzwyczajnej pomyślności. (J. P.)

*

Wśród książek, poświęconych kryzysowi gospodarczemu należy zanotować książkę Hansa Rohn'a p. t. *„Das Ende der Kreise"* (Wien, Verlag Zoller s. 174) Książka jest wyrazem poglądów liberalnych i pacyfistycznych. J. P.

FILM

STYLOWY: „Czemp" reż. King Vidor.

Grają: Wallace Beery (ojciec) i Jackie Cooper (syn).

Pomijając indywidualne odmiany reżyserji filmowej, których może być tyle, ilu się znajdzie reżyserów-artystów, możnaby ją (reżyserję) podzielić — pod pewnym względem — na dwa zasadnicze rodzaje. Jeden, traktuje fabułę scenarjusza, jako kanwę do snucia na niej swych pomysłów wizualnych, węszy, ile będzie mógł z danego scenarjusza wykrzesać. Dla takiego rodzaju reżyserji scenarjusz może nie istnieć jako inteligentny pomysł i wartość już sama w sobie, dobry dlań stanie się dopiero wtenczas, gdy potrafi stać się punktem wyjścia dla szeregu pomysłów rdzennie kinowych. W podobnym wypadku technika i forma przeważa nad treścią i sama nią się staje, lub stać usiłuje. Tu chwyty reżyserskie, zestawienia fotomontażu, technika zdjęć wybijają się na plan pierwszy, nietylko zdobią film, ale i same jedynie decydują o jego wartości, chociaż właściwie czasami te, wyborne nawet fragmenty, nie są z całością zrośnięte organicznie.

Drugi rodzaj reżyserji, raczej odczuwany w skutkach, niż rzucający się w oczy (film się nie dłuży, zajmuje nas) najlepsze zastosowanie znajduje oczywiście wtedy, gdy ma do czynienia z inteligentnym i wartościowym scenarjuszem. Wypowiada go plastycznie, nie zwracając przedewszystkiem naszej uwagi na formę dzieła. Ona istnieje naturalnie i jej dobry gatunek da się wykryć, ale istnieje jako służka treści i pracuje na jej rachunek.

Reżyserja stawia „Czempa" w tej drugiej kategorji utworów filmowych. Trzeba podkreślić, iż dotychczas zdarzało się nam widzieć sporo filmów o dobrej reżyserji, a niezmiernie mało z dobrym scenarjuszem. Zapewne doprowadziło do tego rozpowszechnione mniemanie, że o wartości filmu decyduje przedewszystkiem jego strona formalna: popis pomysłów wizualnych, suma zawartych w nim „dobrych kawałków". Nie tu miejsce na obszerne roztrząsanie tej kwestji, dodamy tylko — film oczywiście zawsze powinien być dobrze zrobiony, ale czy jego „robota" ma być sztuką sama dla siebie?

„Czemp", tęgie dzieło filmowe, wybija się także z powodzi innych, przez swój scenarjusz nietuzinkowy. Jest to historja o dwojgu: ojcu i synku. Ojciec drab potężny, były mistrz bokserski, teraz pijus, gracz, człowiek bez charakteru. Synek nim się opiekuje: rozbiera go wieczorem, gdy pijany dryblas przychodzi do domu, przewraca na łóżko, otula kołdrą. Tak żyją. Teraz jedna scena: na ulicy awantura — gwizdek, trąbka auta policyjnego. Malec z rówieśnikami, dzieciarnią, pędzi, żeby zobaczyć co się dzieje, dla nich to atrakcja. Ustawiają się półkolem, jak w teatrze, obserwując policjantów, którzy usiłują wyprowadzić z karetki samochodowej jakiegoś pijanego awanturnika. Nasz malec na przedzie, klaszcze z uciechy, już już ma zagwizdać i widzimy jak raptem twarz jego poważnieje, domyślamy się — bo apa-

rat cały czas skierowany jest na chłopca, a nie karetkę — że to jego ojca trzymają policjanci. I tak było.

Druga scena. Syn odwiedza ojca w więzieniu (siedzi za burdy). Ojciec, doszedł do przekonania, że nie zdobędzie się na zmianę trybu życia, chce żeby chłopak poszedł do matki, zamężnej drugi raz i bogatej. Ale dziecko nie chce. Kocha ojca i nie chce go opuścić. I oto ojciec, chcąc synka skłonić do rozstania się z nim, rozmyślnie poczyna siebie szkalować, by się zohydzić w oczach dziecka. W końcu uderza dziecko, pragnąc, aby straciło miłość do niego i bez żalu pozostało przy matce. Dramatyczna ta scena, podczas której dryblas i malec, kłócąc się do upadłego, skrywają przed sobą łzy miłości i rozpaczy, należy do najpiękniejszych i doprawdy inteligencją ujęcia wykracza poza obręb tego, co zwykliśmy w kinie oglądać.

A koniec taki. Po śmierci ojca, malec kryje się w ramiona matczyne, teraz mu ich potrzeba. Z ojca opiekun był pożal się Boże, ale mały czuł jego obecność przy sobie i żył w cieniu tego wielkiego i bezdarnego ciała i w cieple tej bezdarnej, ale zawsze ojcowskiej miłości.

KANDYD

Errata: w nr. 53 „Myśli", w recenzji z „Bezdomnych" zostało opuszczone całe zdanie. Po: „symbolika krajobrazu" powinno być: „Wyzyskano także, przy komponowaniu obrazu na ekranie, charakter i właściwości tej prostokątnej płaszczyzny".

ZMARLI

Ś. P. ADAM ANTONI KRYŃSKI

Zmarł w Warszawie zasłużony pracownik na niwie językoznawstwa ś. p. Adam Antoni Kryński.

Mazur z Podlasia, urodził się w Łukowie 19 maja 1844. Żył więc (w zdrowiu, bo do ostatnich chwil pracując), lat 88. Umarł wskutek przypadku, który go spotkał w tramwaju. Przed 63 laty napisał pierwszą rozprawę, kiedy się magistrował po ukończeniu dwu fakultetów w Szkole Głównej, matematycznego i filologicznego, a rozprawa magisterska nosiła tytuł: „O dźwiękach nosowych w językach słowiańskich". Parę lat potem studjował w Lipsku.

Pomimo wysokich kwalifikacyj naukowych rząd rosyjski nie pozwolił mu zająć katedry uniwersyteckiej, a nawet jako nauczycielowi gimnazjalnemu wzbraniał nauki języka polskiego. Uczył więc w szkołach greki, łaciny i języka francuskiego. Dopiero w czasie wojny dostał się na katedrę zrazu we Lwowie, a potem w Warszawie.

Był członkiem Akademji Umiejętności i wielu towarzystw naukowych. Główne jego zasługi organizacyjno-naukowe — to założenie w r. 1884 „Prac Filologicznych", które prowadził wzorowo do końca życia, a potem rozpoczęcie od r. 1898 „Słownika języka polskiego", którego opracowywanie trwało do r. 1926. Ośm tomów tego wielkiego słownika — to pomnik i jego i Karłowicza i Niedźwiedzkiego. 30 lat pracy Kryński z życia swego na to dzieło poświęcił. Na polu kultury języka dwie miał zasługi wielkie: jako autor gramatyki języka polskiego (1897), której do r. 1917 (do Szobera) wyszło 6 wydań, a potem jako niestrudzony popularyzator zasad poprawnej mowy. W tym względzie bardzo pożyteczna była jego książka „Jak nie należy mówić i pisać po polsku?" Potem za obowiązek uważał w prasie rubrykę poradnika takiego prowadzić, ostatnio w „Kurjerze Warszawskim". Po śmierci już w tem piśmie jeszcze jego rubryka się ukazała. Językoznawcy cenią kilkadziesiąt jego prac naukowych. W r. 1918 wydał wybór „Zabytków języka polskiego".

W żadnej bodaj dziedzinie nauki nie było w Polsce tak wielkiego i nagłego postępu, jak pod koniec XIX stulecia w językoznawstwie i etnografji, a to wskutek przewrotu, jakiego dokonało zastosowanie metod przyrodniczych i psychologicznych do badań języka. Twórcami tego nowego okresu była generacja uczonych, do których oprócz Kryńskiego należeli Baudouin de Courtenay, Malinowski, Nehring, Łoś, Brückner, Appel, Jan Karłowicz. Pojęcia o języku i mowie, zostawione dotąd wolnej twórczości literackiej, kodyfikowane w gramakach Kopczyńskiego, a nawet później Małeckiego, uległy zasadniczemu przeobrażeniu. Studja porównawcze, historyczne w głąb języka staropolskiego, a głównie badanie gwar ludowych uczyniły z tej dziedziny wiedzy amatorskiej ścisłą wiedzę. Wiele było koło tego gwaru opozycyjnego, zwłaszcza w dziedzinie reform gramatyczno-ortograficznych, uczeni jednak mieli już oparcie w Akademji. Nic dziwnego, że generacja ta pokusiła się o sporządzenie nowego inwentarza języka polskiego, któryby kilkakrotnie pomnożył zasób znany Lindemu. Nowsza generacja profesorów Rozwadowskiego, Nitscha, Gawrońskiego, Szobera i in. poszła w zdobyczach dalej, wszakże tamtym pionierom należy przyznać wielką zasługę dobrego początku.

Rysem charakterystycznym nowej szkoły, rzucającym się popularnie w oczy, był w ortografji racjonalizm, nie liczący się z tradycjami dotychczasowej pisowni, a drugim rysem daleko posunięty relatywizm w sprawach praktyki językowej. Empiryzm naukowy liczył się z faktami, więc skoro się coś przyjęło, to stało się faktem językowym, który trzeba tolerować. (Można i tak). Dała się więc zauważyć pewna niechęć do tych językoznawców, którzy ulegając skrupułom wobec kultury języka, poprawiali mowę i czynili z tego pewną misję wychowawczą. W tem położeniu znaleźli się Roman Zawiliński i sam Kryński. Na jakiś tydzień przed śmiercią Kryński ogłosił w „Kurjerze Warszawskim" bardzo sprawiedliwą ocenę zasług Zawilińskiego.

Najstarszy to był człowiek między nami w świecie pisarskim. Straciliśmy w ś. p. Kryńskim pracownika nader cennego, człowieka, który osobistością swoją dodawał powagi nauce i życiu społeczeństwa, wzór pracowitości, charakteru i cnót moralnych. Był to człowiek czysty, prawy i niepospolicie dobry dla ludzi, skromny i wyrozumiały. Przekonania dobrego Polaka odważnie i zgodnością wyznawał, nigdy się nie chwiejąc. Trzymał się zdala od polityki czynnej, bo to było właściwe jego generacji i jego zresztą skromności. Ale wzorem był dobrej kultury politycznej i świadomie dla dobra narodu pracował.

Cześć i chwała jego pamięci! Z. W.

Ś. P. KAZIMIERZ DUNIN-MARKIEWICZ

Zmarł w Warszawie w 57 roku życia ś. p. Kazimierz Dunin-Markiewicz, artysta malarz i literat-dramaturg. Obrazy Markiewicza znalazły uznanie i pokup zagranicą: szereg malowideł jego pędzla zdobi m. in. ściany muzeum w Dublinie. Najbardziej znane były: śmiała kompozycja, osnuta na tle legendy świętojańskiej „Amor", obecnie będąca w posiadaniu ambasady polskiej w Londynie, wystawiona podczas wielkiej wystawy w Paryżu w 1900 r., oraz portrety drugiej żony, Konstancji Dunin-Markiewicz z domu miss Gore-Gooth (pierwsza, Jadwiga ze Spława-Neymanów, umarła młodo), słynnej bohaterki narodowej irlandzkiej i wielu wybitnych mężów stanu Anglji w okresie 1904 — 1916 r.

Zadebiutował ś. p. Dunin-Markiewicz, jako pisarz w r. 1908, pisząc do spółki ze znanym pisarzem irlandzkim, Seamus O'Kelly tragedję „Złoty dzban". Stojąc na czele własnego zespołu teatralnego, wystawiał następnie w Abbey Theatre w Dublinie m. in. cały szereg własnych utworów dramatycznych, jak: „*The White Rook*" (Biały Kruk), „*Seymour's Redemption*" (Nawrócenie Seymours), „*The Dillettante*". Największem powodzeniem cieszyła się jego sztuka patrjotyczna irlandzka, dramat p. t. „*The Memory of the Dead*" (z r. 1910) (Wspomnienie zmarłych) na tle nieudanego powstania irlandzkiego z 1798 r., grany niezliczoną ilość razy aż do czasów obecnych. Dramat ten odegrał wielką rolę w propagandzie patrjotyzmu irlandzkiego i stał się — w dużej mierze przy udziale Konstancji Gore-Markiewicz — narodową sztuką irlandzką.

Komedje jego, pełne humoru, grywane były na scenach polskich. Ostatnie dzieło sceniczne napisał do spółki z Mieczysławem Fijałkowskim. Zmarły cieszył się ogólną sympatją, jako człowiek dobry i pogodny.

OFENSYWA

ZBYTECZNA PUBLIKACJA

W DWÓCH PISMACH warszawskich uważał za stosowne i celowe drukować fragmenty swojego historycznego „studjum" o t. zwanych Bezdanach, p. Władysław Pobóg Malinowski, dotychczas mniej znany jako dziejopis, ile raczej jako działacz z grupy ofensywnych wolnomyślicieli. Mało tego. P. Wł. Pobóg Malinowski informuje, że jego praca wyjdzie nakładem „Głównej Księgarni Wojskowej"...

Otóż celowości, aktualnej celowości tej publikacji nie można nie postawić pod grubym znakiem zapytania. Pocoż i *cui bono? Cui bono*, dla czyjego dobra, na czyj pożytek i benefis? dla rozszerzenia i pogłębienia jakiej wiedzy? dla pokrzepienia których serc? dla zahartowania jakich charakterów? dla przykładu jakiej młodzieży? dla zaimponowania komu? dla zachęcenia jakich i których żywiołów i czynników?

Wychodzi bardzo poważny, interesujący choć nie bez partyjnictwa wydawany kwartalnik „Niepodległość", nieco wzorowany czy przypominający rosyjskie „Byłoje". Drukuje się tam wiele wspomnień i zapisków bardzo cennych, ma się w redagowanem piśmie pewne względy nawet dla najskrajniejszych ugodowców austrjackich (Biliński, Bobrzyński), natomiast z całkiem cyniczną bezceremonialnością sabotuje się i przemilcza tych, którzy 35 lat temu całą ideologję niepodległościową skonstruowali z T. T. Jeżem na czele. „Niepodległość" drukuje czasami bardzo ważne i autentyczne przyczynki do ruchów strajkowych i terrorystycznych z przed wojny, które o ile są w ekskluzywnym perjodyku (tylko przez Polaków w Polsce czytane), mogą czy mogłyby mieć dzisiaj dużą wartość historyczno-archiwalną. Nas, literatów te fragmenty i okruchy nowoczesnej dziejowości, której byliśmy współczynnymi często świadkami emocjonują w wysokim stopniu; tomy „Niepodległości" rozcina się zawsze z dużą niecierpliwością, zawsze atoli z uczuciem pewnego niepokoju, aby wydawnictwo takie nie stało się jakiemś seminarjum dla naśladowców, powiedzmy sobie niepowołanych. Co do celowości publikowania różnych wspominków, nawet w tak ekskluzywnej i mocno partyjnickiej „Niepodległości" możnaby już dyskutować *per longum et latum*. Natomiast celowości historycznego utrwalania teraz drukiem „epopei" Bezdańskiej dopatrzeć się i odgadnąć jest już całkiem niemożliwe. Czy to ma być potężny zastrzyk nowej reklamy, czerpanej z „ery romantycznej" czy też tylko epatowanie łyków, kołtunów, zołzikiewiczów i posesjonatów z B. B. W. R.? *Cui bono? cui bono?* Dla pewnego gatunku umysłów i sumień zawsze to będzie wielki wyczyn i wielki przebój; dla literatów kapitalne także tworzywo dla jakiegoś nowego... filmu w nieco amerykańskim, Arisońskim (Tom Mix) stylu. Można się bardzo rozegzaltować i dla takiego heroizmu i hazardu, momentami porywającego... Ale czy taka lektura nie dostaje się także w ręce niepowołane, lub nieprzygotowane, z jednej strony w ręce poważnych wytrawnych mężów stanu, szefów sekcyj i departamentów, ministrów, prezesów banków i koncernów, prezydentów trybunałów, finansistów, inspektorów armji, jurystów, a z drugiej strony w ręce młodzieży organicznie negatywnie usposobionej względem każdego ustroju? Czy obywatele redaktorowie z „Niepodległości" nigdy się nie zastanowili nad tem, jaką reakcję uczuciową i jakie refleksje wzbudzać może choćby we współobywatelach „wmieszkanych" (t. zw. młodożydach) podobnie podniecająca imaginację i co ważniejsze ambicję! lektura? Czyż wzgląd na dobro i bezpieczeństwo państwa nie powinien był przeważyć nad przelotną satysfakcją przypomnienia dokładniejszego i sobie i rodakom w druku górnej i chmurnej młodości, epizodów w swoim rodzaju pięknych, bohaterskich, ale minionych, przebrzmiałych i niekoniecznie do odgrzebywania już teraz się kwalifikujących?

Pozostaje jeszcze wzgląd jeden, ale też bardzo ważny, to znaczy, jak taka „epopeja" Bezdan przedstawiać się może w Oczach Zachodu. Otóż Zachód do tego rodzaju epopei jednak „nie przywykłszy". A tymczasem taka książka (nakładem Głównej Księgarni Wojskowej) może być tłumaczona na niemiecki, na francuski, ba nawet udostępniona Anglikom i fatalnie komentowana. Na Zachodzie znają dobrze ruchy wyzwoleniowe, powstania narodowe i nawet terrorystyczne akcje dawnej Italji (Garibaldi), Irlandji, Czechosłowacji, Węgier, Flamandrów: Analogicznego do Bezdan aktu znaleśćby tam się nie udało. Analogię znaleśćby można tylko w dawnej i nowej Ameryce, oczywiście *mutatis mutandis* i to przeważnie Południowej. Natomiast w Europie samej, ale wschodniej dziwnym zbiegiem okoliczności analogiczny fakt figuruje w biografji dyktatora Sowietów i to w tym samym roku, bo w 1908. Ale jest i pewna różnica. W Tyflisie był napad na Bank Państwa, instytucję ściśle rządową i carską, podczas gdy pod Bezdanami eksproprjacji doznały prywatne listy pieniężne i przesyłki i korespondencja. Hasłem „pod Bezdanami" pracujących (jak to z naciskiem i wielokrotnie nazywa p. Pobóg-Malinowski) było słowo: komuna, hasłem Gruzinów w Tyflisie: Gruzja. Efektywnie Tyflis przyniósł w gotówce omal pono 6 (sześć) miljonów rubli, Bezdany 300 tysięcy.

I jest jeszcze jeden szczegół interesujący, który nie dość potrzebnie i oględnie przytacza „historyk" tego epizodu p. Pobóg-Malinowski. Jest to list do późniejszego redaktora „Robotnika" Feliksa Perla, napisany w przeddzień Bezdan:

„Ostatnią moją ideą, której nie rozwinąłem jeszcze nigdzie, jest konieczność w naszych warunkach wytworzenia w każdej partji, a tembardziej naszej, funkcji siły fizycznej, funkcji, że użyję tak nieznośnego dla uszu „humanitarystów" określenia (histeryczne panny, nie znoszące drapania po szkle, ale znoszące pranie ich po pysku), funkcji przemocy brutalnej".

List ten, pisany do przyjaciela izraelity, koliduje wyraźnie z innym szczegółem, przytoczonym przez p. Poboga Malinowskiego, a mianowicie:

„Piłsudski, aby utrudnić działanie policji, postanowił nadać akcji charakter roboty niepolskiej. Polecił mianowicie zachować jak najstaranniej pozory rosyjsko-żydowskie, a więc na peronie i wogóle w trakcie akcji mówić po rosyjsku i — kto umie — po żydowsku. Bojowcom, władającym tylko językiem polskim, polecono wcale się nie odzywać. Pozatem miano pozostawić na dworcu bezdańskim — niby przez zapomnienie, parę przedmiotów, a więc np. zepsuty browning, kilka naboi, śledź, wszystko to zawinięte w gazety żydowskie".

Otóż jeżeliby teraz zdecydowano z bardzo barwnego epizodu epicznego w Bezdanach sporządzić nowy film „patrjotyczno — niepodległościowy", to z konieczności uciec musianoby się czy należałoby się do pewnych zmian i retuszów.

Jak w propagandowym filmie „Dziesięciu z Pawiaka" usunięto ten szczegół (pozornie nieważny), że dyrekcja więzienia przed akcją dostała przedtem kilkunastotysięcznorublową łapówkę, co znacznie ułatwiło tak dla dzisiejszej publiki efektowne, groźnie ryzykowne „wykradzenie", tak teraz z naszych Bezdan należałoby usunąć ów żydowski motyw, który nawet na pronongsowanym „żydożercy" nie robi zbyt miłego wrażenia, a w dużą kolizję wstawiłby „genjalnych" reżyserów *à la* Ordyński, Szaro, Leitess i t. p.

Reasumując raz jeszcze wrażenia po przeczytaniu „pracy" pana Poboga-Malinowskiego, godzi się zaznaczyć, że nie trzeba być aż „płazem" czy antypaństwowcem, jak to mógłby określić czy nawet określił ten i ów sfanatyzowany matoł i Eurazjata, aby nie egzaltować się zbytnio urokiem „Bezdańskiej epopei".

Publikację zaś z rozmazanemi i „rozbudowanemi" szczegółami tej akcji, publikację nie w ekskluzywnym kwartalniku, ale w przystępnych wszystkim pismach i w książce, w dzisiejszym momencie raczej uważać należy za pomysł niewłaściwy. Stwierdzają to zresztą i telegramy, punktualnie z tego samego tygodnia...

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Ks. Janusz Radziwiłł skarżył się niedawno na obiedzie „Czasu" na „zanik niezależnej i odpowiedzialnej opinji publicznej". Przypominamy, że w styczniu 1931 po Brześciu, tenże Książę Pan ze łzami w głosie dowodził, że on też boleje, ale jego i jemu podobnych rola jest „żmudna, nieraz ciężka, narazie może mało efektowna", polega zaś ona na podtrzymywaniu Rządu, „któremu się służyć musi". Podobnie pan Seweryn Soplica opowiada: „Przed strukczaszym samym łzami się zalałem, błagając go, aby mnie odpuścił, iż z obowiązku muszę o jego krzywdę się starać, bo znałem dobrze, że nasza sprawa jest brzydka. Ale cóż? Czyj się chleb je, tego bronić trzeba". (H. Rzewuski: „Pamiątki Soplicy", rozdz. VI).

Oto jak wygląda „niezależna opinja" w Polsce: w r. 1781 Soplica służył u Radziwiłła, dziś Radziwiłł służy u Soplicy! Gdzie tu miejsce na „niezależność"? „Odpowiedzialność" — ta owszem istnieje, lecz bynajmniej nie przed społeczeństwem, lecz wyłącznie przed panem. Wystarczy!

I tu sceptycy narzekają na zanik tradycji!

*

„Tymczasem żydowszczyzna, co szła chyłcem, skośnie,
Z pijawki już padalcem — w konstruktora rośnie".

Aleksander Fredro w wierszu „Odludek". Wybór poezyj, 1918.



Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA RYCZAŁTEM OPŁACONA.